№ 45 Warszawa, dnia 30 Października (11 Listopada) 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

STUDYA HISTORYCZNE.

(Dalszy ciąg.)

Kiedy w roku 1109 książę Świętopełk z cesarzem wyprawił się na Węgry, Mutinę i Wacka, który z innego był rodu, ustanowił zawiadowcami państwa na czas wojny. Już przekroczono węgierską granicę, już wojska rozłożyły się pod Presburgiem, gdy w tym przybiega do obozu cesarskiego goniec od Wacka z wieścią, że młody książę Polski Bolesław Krzywousty, z wielką siłą wkroczył do Czech od strony Szlązka, bez oporu zdobył twierdzę graniczną i po całym kraju spustoszenia rozpostarł.

Z żalem i gniewem zerwał się Świętopełk do odwrotu ale już Bolesława nie zastał. Dziwnem jednak się wydało Świętopełkowi jak można było zdobyć twierdzę warowną, którą wówczas dzierżył wraz z liczną drużyną Mutyna? Rzecz się jednak wkrótce wyjaśniła. Mutyna Werszowiec wraz ze swoim stryjem Nemojem, dawniej już z Czech wygnanym, podmówił młodego, pełnego chęci i zapałów wojennych Bolesława Krzywoustego na tę wyprawę, czego mu żądny boju król nie odmówił.

Zawrzał gniewem na taką wieść Świętopełk i groźnie jął rozpatrywać się przeszłości tego nieniepoprawnego rodu.

Na nic mi się nie zda jeśli samego Mutynę ukarzę, myślał sobie wracając z węgierskiej wyprawy, i przysiągł cały ten ród zawistny wyplenić jednym zamachem oręża. Ale miał on przy sobie niektórych Werszowców w drużynie wojennej, zamysłów więc swoich nie zdradził i wesołe okazywał oblicze. Nawet kiedy pod Lutomyślem Wacek z Mutyną przybyli na jego spotkanie, przyjął ich dobrze i nikomu nie wymawiał zdrady. Już wówczas jednak przyjaciele Mutyny przeczuciem jakiemś wiedzeni, radzili mu umykać, bo pewnie życiem lub utratą oczu odwagę swoją przypłaci, ale snać los ciągnął go do zguby, bo za nic sobie ważył roztropne przestrogi.

Tak podciągnął z wojskiem swem Świętopełk do zamku Wratysławia, gdzie zwoławszy starszynę do sali rzekł do nich silnym głosem, iż Werszowce, jako przeciwnicy książęcej władzy muszą zapłacić raz za srogość swoich podstępstw życiem. I wyszedł groźny z sali, skinąwszy wpierw na kata, który z mieczem przypadł do Mutiny. Nic złego nie przewidując zasiadł Mutina między starszyną do rady się gotując i na tem samem krześle dwa ciosy śmiertelne odebrał. Przy nim legli dwaj dorośli synowie, obok nich w tej samej chwili spadły głowy dwóch jeszcze innych Werszowców: Domaszy i Unisława. Lecz nie dość było pięciu ofiar, książę obwieścił, że ktokolwiek jest z tego rodu, taką samą zginąć ma śmiercią i na wszystkie głowy sowite nagrody naznaczył, a szczególniej za Bożeja i jego syna, cały ich dobytek obiecując oprawcom.

Polała się zatem krew winnych i niewinnych Werszowców. Z domu wywłóczono dzieci, żony i wreszcie silnych barczystych rycerzy... żadnego zdaje się z nich nie pozostało i ród Przemysławiców został raz na zawsze uwolniony od tych przeklętych ludzi.

Groźny Świętopełk czuł się ostatecznie swobodnym i bezpiecznym, a zebrawszy wojska wraz z cesarzem ściągnął na Szlązk, aby odemścić poniesioną krzywdę, którą rok zaledwie temu wyrządził mu Bolesław Krzywousty.

Cały dzień 21 września zszedł mu na naradzie z cesarzem i o zmroku dopiero wracał z liczną drużyną do swego siedliska na nocleg. Po drodze spotkali jakiegoś rycerza, stał pod pniem dużego buka, przy nim grzebał ziemię koń osiodłany. Mało kto zwracał na to uwagę, rycerz szybko wskoczył na konia, wmieszał się w książęce drużyny i w mgnieniu oka padł Świętopełk nieżywy. Mordercę rozsiekali na miejscu i nikt się nie dowiedział, jakie było jego imię, ale niebawem wieść gruchnęła, że go przysłał Jan Cztowicz, jeden z nielicznych Werszowców, którzy uszli rzezi wroku minionym.

Profesor Smolka kończąc tem szkic o „Niepoprawnym rodzie" opiera się na Roczniku kwedlimburskim i Thietmarze. Nie mogę się z profesorem Smolką sprzeczać o rzeczywistość tego faktu, zanotuję tu jednak, że u naszych późniejszych kronikarzy występuje całe to zdarzenie nieco odrębniej. Bielski, cytując za Długoszem, opisuje nam następne zdarzenie, a mianowicie, kiedy Świętopełk wtargnął na Szlązk, jakiś z rodu Werszowców mściwy potomek imieniem Giesco filus Fistem, który umknął do Polski i skrył się na dworze Bolesława Krzywoustego, wziąwszy wpierw pozwolenie królewskie udał się wieczorem już pod namiot książęcy i tam krzyknął po czesku: *utekaj kral!*

Świętopełk myśląc że nieprzyjaciele natarli na obóz wybieżał z namiotu, a Werszowiec utopił mu swoją kopię w boku poczem sam z jedną siekierą powrócił do króla, za co mu Bolesław nadał wiele wsi i grodów, a nawet zmienił dotychczasowy herb „Werszy" to jest rybackiej sieci, na Okszę, to jest siekierę w czerwonem polu.

Ztąd też początek tego herbu, który wedle Dubraniusa historyka czeskiego powstał w Czechach o sześćdziesiąt lat później.

Tu więc o ile mi się zdaje profesor Smolka nie wyzyskał należycie źródeł do tego przedmiotu,

a przynajmniej nie odparł tego, co późniejsi o tem napisali.

Ale nie o tem mowa; w tym szkicu profesor Smolka nie zdążał do upamiętnienia krwawych mordów Przemysławiców i podstępstw Werszowców, ani do zaznaczenia, że od potomków Werszowców, powstał ów gród Werszowy, który dziś Warszawą nazywamy. Po za tą barwną szatą postawił sobie coś ważniejszego historyk, a mianowicie: pragnął wykazać, że jedynie tym despotycznym rządom Przemysławiców można było zawdzięczać to, że Czechy sprzęgły się w jedną całość, gdzie już śmielej mogli odpychać napady germańskiej rzeszy. Toż samo niezawodnie działo się i w Polsce.

Byli tam niezawodnie owi książęta krwi, których nie brak w naszej bajecznej przedchrześciańskiej historyi. Potrzeba było zlać te drobne udzielne państwa w jedność, chociażby przyszło spokój domowy okupić ślepotą własnych braci. I rzeczywiście trwałym pomnikiem tej grozy, przez pierwszych Piastów rozpostartej, była wszechwładza książęca, przeciw której nikt głosu nie poważył się podnieść. „Klucz do zrozumienia powodzeń i potęgi trzech Bolesławów.”

„Król-Zbój” jak go w „Królu-Duchu” nazwał Słowacki, utworzył państwo w jego silnych karbach, związał w jednalitą całość bezwładną rzeszę niedojrzałych plemion, z których każde z osobna, przed obcą przemocą nie mogłoby się ostać, i surowością swoją bezwzględną broniąc rozprzężenia, przywiódł do tego, że pod wpływem dobroczynnych promieni chrześciaństwa i zachodniej cywilizacyi urosła w naród. I przyszedł potem czas, kiedy „Król-Zbój” runął, bo dosyć już było jego panowania, dosyć krwi przezeń przelanej, ale runął dopiero wtedy, kiedy dzieło jego już tyle było dojrzałe, że bez niego mogło się ostać i żył dalej. A rzućmy tylko okiem za Odrę, na ten obszar rozległy, aż po brzegi Łaby, gdzie przed wiekami siedziały takież same plemiona lechickie, tej samej krwi co Kujawiacy, Mazury, Polanie. Nie dał im los takiego króla mściwego, któryby je sprzągł w państwo jednolite i pozostały w takim rozbiciu, w jakim przed podbojami Piastów żyło rojowisko lechickich plemion nad Wisłą i Wartą. Dziś ani śladu z nich nie ma, lub jeśli gdzieniegdzie ślad jakiś nieznaczny pozostał, to tylko jakby martwy zabytek z czasów przedpotopowych. Bo przyszedł na nie rychło potop niemieckich podbojów i zginęły w nim marnie i miały czego żałować, że niedoczekały się na czas srogiego króla, któryby z nich naród przemocą uczynił.

(*D. n.*)

Ostatni dąb.

Dawno... przed laty... był tu las dziewiczy,
Nietknięty stopą ni ręką człowieka...
Jak noc posępny a tak tajemniczy,
Jak jego młodość mroczna i daleka...

Opodal ludu roiło się mrowie...
Ileż pokoleń na ten las patrzało!...
Drzew tych wyniosłość któż teraz opowie?...
Toż wieków tyle na nią się składało!...

Lecz wszystko w świecie ma swój kres i koniec,
Gdy gromów Bożych omijały ciosy...
Na skrzydłach pary zleciał śmierci goniec,
I padły drzewa... jak pod sierpem kłosy...

A nie wiem jakiem szczególnem zrządzeniem,
Został dąb jeden na tych mogił straży...
I za najlżejszem choć wietrzyka tchnieniem,
O starych dziejach wspomina i gwarzy...

Cały spróchniały... latoroślą młodą,
Niby ostatkiem życia się uśmiecha...
Z sąsiednią — suchą i bezlistną kłodą,
Splata miłośnie... niby pamięć cicha...

Och!... z tego dębu może znów las będzie!...
Może ucichną te siekier hałasy!...
Stary dąb co rok rozsiewa żołędzie...
Może dla lasów przyjdą lepsze czasy!...

Tak szeptał starzec — niby dąb spróchniały...
Coś więcej jeszcze, począł cicho wróżyć...
Lecz z liścia szmerem słowa się zmieszały...
A zapytany — nie chciał ich powtórzyć!...

A. F.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Odszedłszy od drzwi Kseni udałem się wprost do pokoi naszej chorej pani, pragnąłem czemśkolwiek wytłomaczyć nieobecność Ukrainki przy jej łóżku i zobowiązać staruszkę, aby nikt już dzisiaj nie potrzebował nic od dziewczęcia i pod żadnym pozorem nie przerywał jej samotności. Kiedy przecież zapukałem do jej sypialni, zamiast zwykłego uprzejmego zaproszenia do wejścia przez moją zacną przyjaciółkę, usłyszałem ciche kroki i w drzwiach uchylonych ukazała się panna Anastazya, prosząc mnie przytłumionym szeptem, abym nie wchodził, gdyż nasza pani czując się nieco znużoną i jakąś senną, przeszła już z fotelu do łóżka.

Powiedziałem pannie Rewińskiej, że Ksenia powróciła z przejażdżki z mocnym bólem głowy i że zapewne nie zejdzie dziś już wcale na wieczerzę; prosiłem ją aby, gdyby Jenerałowa przebudziwszy się żądała czego od siostrzenicy i pytała o nią, wytłomaczyła ją i nie pozwoliła w żadnym razie niepokoić ją i budzić, sam zaś kazawszy przynieść sobie herbatę do mego pokoju udałem się do siebie i chodząc szerokiemi krokami, starałem się uspokoić umysł mój wzburzony fatalnemi kazusami, przez które moja ukochana Sonia przeszła dziś w mych oczach, prawie w jednej godzinie.

Pomimo instynktowego wstrętu, jaki czułem zawsze dla Eugeniusza, pomimo długiej niewiary w czystość i gruntowność uczuć jego dla Kseni, a następnie smutnych przewidywań co do grzeczności jego dla panny Lalki, nie mogłem uspokoić się i pogodzić z myślą, że ten stosunek tak prędko zakończy się zdeptaniem i zmarnowaniem szczerych i czystych uczuć naszej dziewczynki, przez tego nędznego, wytrawnego komedyanta. Żal mi było tego młodego, pełnego zapału i siły serca, które tam w samotności, musiało rwać się z bólu, w nieprzygotowanej do zawodu piersi dziewczęcej.

Myśląc o tem wszystkiem, teraz dopiero przekonałem się, jak prawdziwie ojcowską, samolubną prawie i ślepą miłością ukochałem to dziecko! Nauczyłem się oddawna szanować Stefana i pokładać wiarę i ufność w każdym czynie jego, który powodowany był najszlachetniejszemi pobudkami, jego dzielnej, prawej duszy, powtórzyłem sobie sto razy sam, że postąpił dzisiaj tak jak postąpić był powinien, przypominałem sobie całe jego zachowanie i słowa, z których każde pełne było prostoty, prawdy i uczucia budzącego najżywsze uwielbienie, a przecież w gruncie rzeczy, czułem do niego żal i prawie urazę za to, że nie przyjął ręki mej cudnej faworytki, którą mu z ufnością taką oddawała sama.

Nie mogąc na chwilę zapomnieć o tem biednem dziecku, które za dumnem będąc, aby boleść swą okazać ludziom i szukać ulgi w pociesze choćby najwierniejszego przyjaciela, zamknęło się w czterech ścianach swego pokoju, niespokojny wychodziłem co chwila do ogrodu i stając pod jej oknami śledziłem z obawą i troską słabe światło lampy bijące na trawniki i przesuwający się na tle jego cień dziewczęcia, które jak się domyślałem, chodziło ciągle szybkim krokiem po pokojach.

Kiedy o godzinie dwunastej wyszedłem po raz jaki dziesiąty, udając się pod okna mojej faworytki, spostrzegłem ciemną postać, która otulona czarnym szalem, oparta o pień starego świerku stojącego nieopodal pałacu, wpatrywała się również w okno pokoju Kseni, a zbliżywszy się, po maleńkim wzroście i charakterystycznym ruchu głowy, poznałem w niej pannę Lalkę.

— Co pani tu robi? — zapytałem stając obok niej tak cicho, aby Ukrainka nie posłyszała naszych głosów.

— To co i pan — odparła. — Niespokojna byłam o Ksenię i przyszłam popatrzyć choć na cień jej, przez tę firankę... Biedne dziecko musi cierpieć strasznie nad zawodem, jakiego dzisiaj doznała.

— Wiesz więc pani, że słyszała całą rozmowę twoją z tym człowiekiem?

— Naturalnie, spostrzegłam ją w tej chwili, gdyś ją zobaczył i pan, stojącą przy swym boku, zapatrzoną z przerażeniem w twarz tego podłego, którego po raz pierwszy podobno ujrzała bez płaszcza bohaterskiego, którym tak zręcznie umiał drapować swą nędzę!

Podałem ramię Paryżance i odprowadziłem ją od okna w głąb' ogrodu.

— Dlaczego pani pozwoliłaś temu człowiekowi zakochać się w sobie? — zapytałem po chwili gdyśmy obchodzili wielki gazon do koła. — Znam twoją szlachetność, a po dzisiejszej odprawie jaką mu dałaś, wyznaję, uwielbiam cię, dlaczegóż przecież dopuściłaś pani, aby aż wyznał ci miłość swoją?

Panna Lalka wzruszyła lekko ramionami.

— Wszystko jedno — rzekła spokojnie — byłby pokochał i wyznał miłość swą pierwszej kobiecie, którąby był spotkał po mnie. Od pierwszej chwili gdy spotkałam go w domu państwa, poznałam, że jest to człowiek z najwstrętniejszej rasy męzkiej, zwanej bardzo trafnie: męzkiemi kokietkami. Ludzie tej rasy muszą przecież kochać każdą kobietę spotkaną na swej drodze i mają sobie za punkt honoru zamącić spokój i unieszczęśliwić każdą niewieścią duszę, która zbliżyła się do nich. Dnia zaraz pierwszego po mojem tu przybyciu, spostrzegłam że ta para się kocha. Kse-

nia za prostą jest i za młodą, aby umiała dobrze pokrywać swe uczucia i każde wprawniejsze oko musiało z każdego jej ruchu, z uśmiechu, z całej jej postaci wreszcie, odgadnąć gorące uwielbienie dla Skrzyńskiego. Co zaś do niego, to kochając niby jeszcze to śliczne dziecko, rzucał mi takie spojrzenia, że odrazu powątpiewałam o szczęśliwem zakończeniu się tego stosunku i byłam przekonana, że rychlej czy później, zawiedzie ją najhaniebniej. Z początku pragnęłam ostrzedz Ksenię i dlatego mówiłam jej o Eugeniuszu bardzo ostre prawdy w oczy, nie obwijając nic w bawełnę chcąc pobudzić jej niewiarę w charakter ukochanego i niejako przygotować ją do smutnego rozczarowania, jakie podług mego widzenia, nastąpić kiedyś musiało koniecznie. Skoro przecież przekonałam się, że żadna moc ludzka nie jest w stanie zachwiać choćby na chwilę jedną jej uczucia, a on tymczasem coraz więcej i natarczywiej, prześladować mnie począł swemi względami, pomyślałam sobie, że ciekawa to rzecz zresztą, ilu dni będzie potrzeba na całkowite przerzucenie się Eugeniusza z jednej miłości w drugą? I pozwoliłam mu zakochać się w sobie. Daję panu słowo kobiety uczciwej, że nie kokietowałam go, nie okazywałam mu względów żadnych i nie upoważniałam go do żadnych nadziei z mej strony. Owszem, trzymałam go nawet krótko i traktowałam zawsze dosyć lekceważąco, byłam tylko nieco grzeczniejszą niż na początku naszej znajomości i nie odpędzałam go od siebie szyderstwem, koniec zaś historyi słyszałeś pan sam tak jak i Ksenia.

Rozstawszy się z panną Lalką i powróciwszy do mego pokoju, rzuciłem się jak stałem na łóżko i starałem się zasnąć, napróżno przecież zamykałem oczy i zmuszałem się do bezmyślności, która sprowadziłaby dobroczynny spoczynek na me powieki. Umysł mój znużony niepokojem o moją faworytkę, skołatany troską i żalem, popadł w stan jakiś gorączkowy, który wywołując myśli coraz to więcej niepokojące i rozpaczliwe, odpędzał sen upragniony, napełniając głowę fantazmagoryami niedającemi mi pokoju. Dopiero około godziny czwartej znużenie fizyczne przemogło moralne, gorączkowe, jaskrawe myśli i obrazy poczęły mi się mieszać i blednąć, pamięć opuszczać i zasnąłem snem kamiennym, ciężkim i niezdrowym.

Zdawało mi się, że dopiero co zasnąłem, gdy obudziło mnie gwałtowne pukanie do drzwi. Jak pijany otworzyłem oczy.

— Panie Sewerynie, wstawaj pan!... nieszczęście! — woła na mnie z za drzwi głos, w którym poznałem domowego naszego doktora.

Straszliwa myśl przyszła mi do głowy.

— Ksenia! — zawołałem zrywając się z łóżka i otwierając drzwi gwałtownie.

— Jenerałowa umarła! — rzekł mi cicho doktor, kiedy jak szalony wybiegłem na korytarz.

Było to nieszczęście inne niż myślałem, ale równie straszliwe.

Prawie nieprzytomny wpadłem z doktorem do pokoju mej sędziwej przyjaciółki.

W bogatej sypialni w której światło wschodzącego poranku walczyło z blaskiem kilku lamp, wśród łez i jęku domowników, na białych poduszkach, leżała nasza staruszka cicha, spokojna, uśmiechnięta łagodnie jak we śnie i dopiero kiedy dotknąłem jej lodowej, skostniałej ręki, uwierzyłem że to sen wieczny ukołysał ją już na zawsze.

Przy łóżku zmarłej klęczała Ksenia. Ona jedna ze wszystkich na zebranych nad zwłokami naszej opiekunki i pani, nie płakała wcale, była bladą tak prawie jak zmarła, a słodko uśmiechnięte rysy tej ostatniej, zdawały się mieć jeszcze więcej życia i łagodności od kurczowo ściśniętej martwej twarzy dziewczęcia, w której oczy tylko podsiniałe bezsennością i bólem, błyszczące gorączką i rozpaczą świeciły jak dwa węgle rozpalone.

Płacząc jak dziecko, zapytałem kiedy się to stało i kto był przy śmierci naszej pani?

Przerywając słowa łkaniem, panna Anastazya powiedziała mi, że kiedy wczoraj staruszka położyła się z wieczora, prosząc, aby nikt spoczynku jej nie przerywał, usnęła zaraz tak mocno i spokojnie, że obie z panną Skarzyńską, czuwając w przyległym gabinecie nie śmiały przebudzać jej nawet do lekarstwa, które doktor zalecił dawać regularnie co dwie godziny. Kilka razy przez noc chodziły obie z kolei zaglądać do chorej i za każdym razem znajdowały ją śpiącą i oddychającą równo i spokojnie. Ponieważ przez cały ciąg choroby Jenerałowa cierpiała na bezsenność i od bardzo dawna nie odpoczywała tak spokojnie, obie ucieszyły się z tego, jak sądziły polepszenia i uspokojone, ułożywszy się na sofie w buduarze, zasnęły także około północy. Dopiero około godziny piątej, panna Boćwińska sama udała się do sypialni pani i zastała ją już taką zimną i sztywną, leżącą na poduszkach z różańcem w ręku, z którym usnęła wczoraj i z którym śmierć zaskoczyła ją nagle.

Doktor Józefowicz twierdził, że nasza zacna pani skończyła bez cierpień żadnych. Przypuszczał, że paraliż płuc i serca uderzył ją we śnie i że skonanie było tylko dla niej przejściem w sen coraz głębszy, cichszy, nigdy nieprzespany.

Że jej tam w śnie tym było dobrze, spokojnie i błogo, to wskazywała wypogodzona twarz jej otoczona aureolą włosów srebrzystych, na którą patrząc przypomniałem sobie jej słowa, gdy przed kilku miesiącami mówiła do mnie, może ja już niedługo położę się na wieczne, ciche odpocznienie i pozostawię za sobą wszystkie troski świata i niepokoje.

— Odeszła sobie cicho, spokojnie, a nas pozostawiła na dalszą jeszcze walkę z dolą i niedolą i nie troszczy się już o nic — myślałem sobie — i w tej chwili przekonałem się, że śmierć jest straszną dla tych tylko którzy tu pozostają! Do sypialni Jenerałowej zeszliśmy się wszyscy domownicy i było nas razem tak wielu, że zapełniliśmy całą komnatę i otoczyli zbitym kręgiem zwłoki zmarłej: każde z nas czuło się w tej chwili opuszczonem i samotnem.

Najbiedniejszą jednakże z nas wszystkich, była niezaprzeczenie Ksenia. Do wszystkich bóli i smutków, przybyło jej jeszcze dzisiaj nowe brzemię rozpaczy, pod którą młodziutka jej postać zdawała się uginać i prawie łamać. Nieważąjąc na łkania i jęki, wydobywające się około niej z wszystkich piersi, dziewczyna w białem nocnem ubraniu, klęczała przy łożu śmierci sama jak martwa, zarzuciwszy splecione ręce na ciało zmarłej i suchemi oczyma wpatrzona w te drogie, słodkie teraz jeszcze rysy, poruszała ustami blademi, jak gdyby szeptała coś do nich głosem, którego nikt z nas obecnych zrozumieć nie był zdolnym.

Zbliżyłem się do niej i stanąwszy po drugiej stronie łóżka, starałem się zachwycić uchem choć jeden z tych wyrazów.

— Co mówisz dziecko—zapytałem po chwili—czy modlisz się?

— Nie! — odparła mi głucho nie patrząc na mnie wcale. — Przepraszam ją, że nie byłam dla niej taką jaką być powinnam.

Nie będę opisywał tych dni ciężkich, czarnych, które przeżyliśmy patrząc na martwe zwłoki naszej dobrodziejki i opiekunki. Dość, że dnia czwartego po tym smutnym, bladym poranku, w jeszcze smutniejsze deszczowe zimne popołudnie, przy współudziale całej okolicy, która zjechała się oddać zmarłej ostatnią posługę, wynieśliśmy czarną trumnę z szerokich podwoi pałacowych. Wziąwszy za rękę przybraną nanowo w żałobną sukienkę sierotę ukraińską, poprowadziłem ją za nią, jako jedyną najbliższą krewnę i dziecko ukochane zmarłej, aż do wsi drugiej, gdzie około kościoła pod ciężki sarkofag marmurowy, złożyliśmy drogie szczątki na wieczny spoczynek.

Kiedy powróciwszy do pustego pałacu, którego mury zdawały nam się teraz jak grób ponure i po wielkim obiedzie i odjeździe łaskawych gości, pozostaliśmy sami z kilku szanowniejszymi sąsiadami, z hrabianką Niną i Mirskim, który jak najwierniejszy przyjaciel dzieląc z nami smutek i prawie nie wydalając się z Młynów, dopomagał mi w zajęciach około pogrzebu, w przytomności wszystkich zebranych a przedewszystkiem Kseni, którą pomimo jej chęci i woli, urzędowo zmusiłem do obecności w tej ważnej ceremonialnej chwili, otworzyłem jedną z szufladek w biórku nieboszczki i wydobyłem zeń testament i oddawszy wielką, opieczętowaną kopertę w ręce jednego z najbliższych i najstarszych obywateli, prosiłem go, aby rozpieczętował i przeczytał treść zawartego w niej dokumentu.

Świętej pamięci Jenerałowa ostatnią swą niezmienną wolą, oprócz kilku drobniejszych legatów jakiemi drogą pamiątki, obdarowywała każdego z żyjących obok niej domowników, oprócz kilku niewielkich datków na kościoły i za pamięć jej duszy, całe dobra Młyńskie z folwarkami, przyległościami i gotówką wynoszącą kilkakroć sto tysięcy złotych, oddawała jedynej swej siostrzenicy, Kseni Lubrzańskiej, nad którą jedynym i pełnomocnym opiekunem, mianowała mnie, aż do dojścia spadkobierczyni do pełnoletności, lub do wyjścia jej za mąż.

Do tych suchych, urzędowych rozporządzeń testamentu, dołączone było jeszcze własnoręczne pismo naszej pani, w którem w kilku słowach prostych i tkliwych, polecała mej czułej opiece swą ukochaną Sonię, która jak się wyraziła, stała się ostatnim jasnym promykiem, świecącym przy dni jej schyłku. Dalej przeczuwając blizki swój koniec, żegnała nas wszystkich razem i każde z osobna słowami pełnemi uczucia i spokoju, z jakim gotowała się do dalekiej drogi z której już nikt nie wraca.

Nie pamiętam w życiu mojem chwili tak smutnej, jak ten wieczór słotny jesienny, w którym przy wielkiej lampie zebrani, wśród cichego płaczu kobiet i świszczącego po za oknami wiatru, słuchaliśmy tego głosu z za grobu naszej staruszki, odzywającego się do nas ostatniem pożegnaniem przez usta starego pana Jana.

Kiedy nareszcie skończyło się czytanie i łzy się uspokoiły, wszystkie oczy zwróciły się na młodą dziedziczkę, która oparłszy na rączce bladą, zeszczuplałą troską i żalem twarzyczkę, odbijającą smutno od czarnej żałobnej sukni, siedziała pogrążona w fotelu prawie bez ruchu.

Wogóle przez cały ten czas smutku i żałoby, nie widziałem w oczach Kseni łzy ni jednej. Zdawało się, że ciężkie przejścia dni ostatnich, zamiast roztkliwić jej duszę, skamieniły jej bujną

serdeczną naturę, jednym mroźnym powiewem i zamieniły ją w martwą chodzącą i poruszającą się pomiędzy nami istotę. Trudno doprawdy byłoby poznać naszą żywą, śmiejącą się i płatającą figle Ukrainkę, w tej cichej, bladej postaci, która milcząca, przesuwała się automatycznie pomiędzy nami patrząc suchemi oczami na łzy lejące się przy niej potokami i słuchającej jęku i zawodzeń bez słowa skargi na ustach. Ludzie patrząc na to dziwili się i wynosili pod niebiosa siłę uczucia dziewczęcia dla zmarłej i litowali się podwójnemu jej sieroctwu, ja przecież, panna Lalka i Mirski, wiedzieliśmy, że ta ostatnia strata była tylko ostatecznem przepełnieniem czary boleści, że moja biedna dziewczynka przeszła przedtem straty inne, które dla serc niewieścich są jeszcze prawie straszniejsze, od złożenia do grobu przybranej matki i opiekunki.

Patrzałem z żalem i niepokojem na moją śliczną faworytkę i wolałbym był prawie widzieć u niej łzy i rozpacz, niż ten głuchy, cichy ból, po którym zdawało mi się, że nastąpić musi jakaś reakcya, jakiś wybuch, wylew uczuć tem gwałtowniejszy, im dłużej tłumiony. Myślałem, że może słowa pełne tkliwości Jenerałowej, poruszą ją nieco i wywołają łzę choć jedną na jej powieki, dziewczyna przecież wysłuchała odczytania tak testamentu, jak listu ciotki z suchemi oczyma, a kiedy potem powstawszy zbliżyłem się do niej i kilku słowami powitałem ją jako właścicielkę i panią Młynów, podniosła na mnie oczy jakby zbudzona ze snu, a potem powstawszy także podała mi rękę prosząc cichym, poważnym głosem, abym i nadal kierował i rządził jej dobrem, tak jak czyniłem to za życia Jenerałowej, gdyż ona ani się na tem nie zna, ani potrafi ocenić rzeczywistą wartość majątku, ani nawet wie co z nim uczynić. Potem zwróciwszy się do księdza Osowick'ego, do panny Anastazyi i nauczycielki, prosiła ich w kilku słowach uprzejmych i pełnych dobroci, aby nadal pozostać chcieli na swych dawnych, za pamięci ciotki zajętych stanowiskach i uważali zawsze dom jej za swój własny.

— Nie dziękujcie mi, kończyła swą przemowę, kiedy wszyscy domownicy nasi zebrawszy się około niej, dziękowali jej za gościnność i dobroć z jaką zaczynała nowe swe rządy.—To wy czynicie mi łaskę jeśli pozostaniecie tutaj. Przyjęliście mnie tu wszyscy tak serdecznie, byliście dla mnie tak dobrzy, kiedy przyjechałam tu przed dwoma laty biedną sierotą w ubogiej lichej sukienczynie, że pokochałam was wszystkich jak rodzinę własną i jesteście mi do życia potrzebni nieodzownie.

Następnie młoda nasza dziedziczka zacząwszy od hrabianki Niny, obeszła wszystkich zebranych w salonie bliższych i dalszych sąsiadów naszych, obywateli i prosiła ich z prostotą i wdziękiem czarownym, aby raczyli ofiarować jej przyjaźń swoją jako nowej obywatelce wchodzącej do ich koła. Do jedynego tylko najbliższego sąsiada Młynów, nie zbliżyła się wcale, do jedynego Mirskiego nie wyciągnęła rączki z prośbą o życzliwości radę w każdej potrzebie, i choć siedział w samym środku koła obywatelskiego, pominęła jego krzesło, jak gdyby na niem nie widziała nikogo.

Wogóle przez te kilka ciężkich dni żałoby, podczas których młody nasz sąsiad prawie ciągle był z nami, Ukrainka trzymała się od niego bardzo z daleka i starała się o ile możności, unikać jego obecności, przesiadując dnie całe przy zwłokach swej opiekunki. Pojmowałem do pewnego stopnia uczucia biednej mojej dziewczynki, której niezawodnie ciężko musiało być spotykać się z młodym człowiekiem, po ostatniem rozejściu się z nim i z podziwem patrzałem na Stefana, który pomimo to wszystko, potrafił zachować całą swą flegmę i spokój, jak gdyby jej niechęci nie spostrzegał wcale.

Nazajutrz po pogrzebie dzień był wilgotny, mglisty, ciężkie tumany oparu zimowego zalegały przestwory tak gęsto, że o kilkanaście kroków nic widzieć nie było można i nawet już bliższe drzewa parku ginęły w tajemniczych cieniach.

Powstawszy z rana smutny i pognębiony, powlokłem się na podwórze zajrzeć do gospodarstwa, którego od dni kilku nie widziałem wcale. Przed śpichlerzem gdzie właśnie ludzie znosili ze stodół omłot kilkodniowy, zastałem niespodziewanie rządzcę z Sulęcina, którego sąsiad nasz Budzyński przysłał w interesie jakimś gospodarczym do naszego ekonoma. Zadowolony z tej sposobności, po krótkiej wstępnej rozmowie, zapytałem się go o Skrzyńskiego, o którym przez te dni wszystkie żadnej nie miałem wieści i teraz dopiero dowiedziałem się od niego, że pan malarz w ten sam dzień kiedy umarła nasza pani, a więc drugiego dnia po odprawie danej mu przez pannę Lalkę, wyjechał do Zurichu, gdzie zjechać się miał z Lucyanem Budzyńskim, z którym razem udać się mieli dalej, do Monachium, czy Rzymu. Jak twierdził ekonom, malarz pozabierał wszystkie swoje malowidła i szkice pozaczynane i jak się zdawało nieprędko, lub wcale już nie miał się ukazać w naszych stronach.

Byłem przekonany, że tak uczyni i nie zadziwiłem się bynajmniej tą wiadomością. Aczkolwiek o postępku jego oprócz nas nikt w okolicy nie wiedział i dowiedzieć się o nim nie miał nigdy, pojmowałem, że pozującemu bohaterowi nie raźno byłoby teraz spotykać się tak z Ksenią, jak z panną Lalką i że wolał zniknąć nagle z horyzontu, niż pozwolić, aby aureola jego pobledną miała choćby trochę.

(*D. c. n.*)

DO ALGIERU

przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

KADYX.

Do Kadyxu można dojechać koleją żelazną, lub dopłynąć rzeką Gwadalkwiwir. Niezbyt dawno jeszcze wszyscy turyści przybywali tu drogą wodną, dziś jest ona zawolną odnośnie do niecierpliwości podróżników. Zresztą, wnosząc z wyglądu Gwadalkwiwiru w Sewilli, bynajmniej nie bierze ochota płynąć między piasczystemi i monotonnemi wybrzeżami zdradzieckich wód jego, które łudząc pozorem spokojnej powierzchni, kryją w swem łonie burze i straszne wylewy. Ślady spustoszeń rozkiełznanych wód są tu wszędzie tak widoczne, iż trudno pojąć jak mogą go nazywać „rozkoszą Sewilli". Wprawdzie i Tag miota swe rozszalałe fale u stóp Toledo, ale nie może dosięgnąć miasta za którego chlubę uchodzić pragnie, gdy tymczasem Gwadalkwiwir niweczy w jednej chwili wybrzeża i ogrody Sewilli.

Wogóle przyznają że podróż koleją przedstawia daleko więcej rozmaitości i malowniczości. Po drodze ukazują się wzgórza pokryte winnicami oraz drzewami oliwnemi i pomarańczowemi, na tle tej zieleni rysują się domki, których ubóstwo kryje się pod śnieżną białością, zarówno jak niedbała wesołość wieśniaków hiszpańskich, osłania ich wstręt do pracy.

Po upływie kilku godzin, jakby za dotknięciem czarnoksięzkiej laski, ukazuje się morze, z którego zatoki wyłania się z oddali Kadyx, jak Wenecya ze swoich Lagun, tylko że Wenecya przedstawia się posępnie, Kadyx zaś połyskuje białością. Jak starożytny Babilon nazywano „złotą czarą" tak Kadyxowi dziś nadają nazwę „czary złotej". Jest to miasto wojenne i handlowe zarazem, stoi tu liczny garnizon wojska. Kadyx stoi sobie jak okręt na kotwicy, podobieństwo to uderza tak zewnątrz jak wewnątrz miasta, gdyż z każdej ulicy widać morze, jak z pokładu okrętu. Zawsze można tu ładować i wyładowywać granaty i towary, materyały wojenne i wytwory pokojowe, a nadto jak każde miasto hiszpańskie, Kadyx posiada w swych murach arcydzieła sztuki.

Przez długie i wązkie ulice dostałem się do hotelu uchodzącego za najpierwszy w mieście, w którym najpokaźniejsze lokale znajdują się na czwartem piętrze. Tam znajduje się wieża w jakie zaopatrzone są wszystkie domy w całem mieście, gdzie wolno podróżnym używać świeżego powietrza i pięknego widoku na morze. Odłożywszy wejście na te wyżyny do czasu gdy słońce mniej dopiekać będzie, udałem się na miasto. Tu i owdzie zwracają oczy piękne szczegóły architektoniczne i podziwiać można, że zdołały się ostać, pomimo że Kadyx był tylokrotnie palony lub bombardowany przez cudzoziemców, albo niszczony wskutek wstrząśnień rewolucyjnych, których bywał inicyatorem lub ofiarą. O ile w miastach maurytańskich ulice są wązkie i kręte, o tyle w Kadyxie proste i pod sznur wyciągnięte, z wielkiem zadowolnieniem Amerykanów, ale z żalem lubowników niespodzianek i poetyczności. Wprawdzie tu i owdzie ukazuje się gromadka palm lub kępa zieleni, ale mury zagłuszają wszystko, a promenada jest to taras pełen kurzu.

Znajdują się tu liczne klasztory; poszedłem zwiedzić ten w którym można podziwiać ostatni utwór Murilla, na nieszczęście nie wykończony, ale jaśniejący przepychem kolorytu cechującego płótna tego mistrza. W obrazie tym przedstawiającym zaślubiny św. Katarzyny, uderza cudowna harmonia a na chwilę uchylona ziemska zasłona, dozwala dojrzeć nieskończoność. Wiadomo, że zatopiony w natchnieniu, wielki artysta zapomniał że stoi na rusztowaniu, spadł z niego i śmiertelnie się zranił.

Korzystając z tego, że słońce zaczynało się mieć ku zachodowi, przeszedłem sto schodów prowadzących do wieży zwanej „Strażnicą", leży ona w środku miasta, roztaczającego się dokoła. Widok ztąd prześliczny. Białe domy miasta przedstawiają jakby ogromne śnieżyste przestrzenie, błyszczące z oddali, co nadaje mu pozór wielkiego lodnika, któremu słońce pozwoliło pozostać na tych skwarnych wybrzeżach.

Zazwyczaj mało kto z podróżnych dłużej za-

trzymuje się w Kadyxie; to też nazajutrz już przed świtem byłem na statku mającym mnie zawieść do Gibraltaru, gdzie widziałem wschód słońca. Gibraltar leży na ciasnem międzymorzu, rozkładając się jak bezmierny wachlarz z domów i dzwonnic, aby rozkoszować się pieszczotami orzeźwionej jutrzenką atmosfery. Wszystko tu błyszczy i jaśnieje przepychem Wschodu, a jednocześnie od ziemi do zenitu wszystko wydaje się błękitne.

IX.

G I B R A L T A R.

Niewielu turystów znajdowało się na statku; jakaś rodzina francuzka oglądająca się wesoło i patrząca na wiele rzeczy razem; kilku Anglików dopotąd przypatrujących się jednej tylko, dopokąd nie sprawdzili czy ich *handbook* myli się lub nie; nakoniec dwóch Hiszpanów zajętych wyłącznie zapowiedzianem przybyciem króla w te strony; zaręczali nam iż jeźli młody monarcha w ciągu tej podróży nie ulegnie morskiej chorobie, czeka go we wszystkich portach serdeczne i gorące przyjęcie.

Wkrótce mogliśmy już widzieć lekko zarysowane faliste wybrzeża Afryki.

Przed nami roztaczało się morze Śródziemne, strojne w piękny swój lazur, z całym szeregiem swych chlubnych lub opłakanych wspomnień, zamieniających jego wybrzeża w dziwne *memento* wszelkich dawnych i tegoczesnych chwał i wielkości.

Przed nami sterczy straszna skała Gibraltaru; twarze Anglików obecnych na statku, wobec tej olbrzymiej fortecy, przybrały wyraz dumy i pewności siebie, jaką słusznie natchnąć może poczucie potęgi swego kraju, potęgi opierającej się na tak silnej podstawie.

Od kilku godzin zakłóca spokój naszej żeglugi nieustanna walka jaką żywioły staczają z sobą w tej cieśninie; to też ucieszyliśmy się gdy zawiadomił nas sternik, że wpływamy na spokojniejsze wody zatoki Algesiras. Biedne miasto hiszpańskie bardzo pokorną ma minę wobec swej groźnej rywalki, po nad którą sterczy sławna skała żelazna, podobna do olbrzymiego ku niebu podnoszącego się bałwana, który w chwili gdy miał już opaść, w stałe zamienił się ciało.

Hiszpanie nie umieliby byli zużytkować tej nagiej i jałowej skały, Anglicy zamienili ją w pomyślnie rozwijające się miasto, w wspaniały ogród i niezdobytą fortecę. Wchodząc tu w jednej chwili przebyliśmy setki mil, z Hiszpanii przeszliśmy do Anglii. Patrząc na te prostokreślne urządzenia, na silną i rozumną organizacyą północną, zamiast napotykanych dotąd nieprzewidzianych niespodzianek i ponętnej fantazyi południowej, doznajemy dziwnie pomieszanego uczucia, zadowolnienia i rozczarowania zarazem. Lecz piękne niebo Południa roztacza olśniewający swój pryzmat na wszystko co gdzieindziej budziłoby żal i smutek.

Od chwili wylądowania spotykamy tu wszędzie rój czerwonych mundurów i paszcze błyszczących dział, nie brak także drzew i pięknych kwiatów; niepodobna lepiej ukryć strasznych narzędzi zniszczenia rozstawionych we wszystkich załomach i szczelinach skały. Wchodzisz w piękną aleję wysadzoną kaktusami i geranią, lecz w każdym kłąbie mieści się straszne narzędzie zniszczenia. Tu znów nęci oko piękny taras bogato przystrojony narzędziami, krzewami i kwiatami, zapewnie urządzono go tak dla przyjemności spacerujących? Bynajmniej — usiadłszy na ławce z której śliczny roztacza się widok, dostrzegasz że taras ten przyozdobiony jest dwunastu potwornemi kartaczownicami. A nie poprzestając na rozstawieniu na zewnątrz niezliczonej liczby tych paszcz ziejących zagładę, przezorny Albion poumieszczał je jeszcze pod grubą powłoką potwornej skały i tylko strzelnice wydrążone w niej, zdradzają obecność dział. Kto lubi armaty może dowoli nasycić się ich widokiem, jest ich tu nieomal tyle co mieszkańców.

Na tych bronzowych potworach wyryte jest słynne godło „Bóg mojem prawem”. Prawo dział uwydatnia się w Gibraltarze silniej może niz gdziekolwiek.

Oficerowie angielscy wcale za raj nie uważają Gibraltaru, mówiąc że pobyt tam żadnych nie nastręcza przyjemności, ale przeciwnie naraża na febrę i gorączki — Hiszpanie jednak nie wierzą temu. Nie mają już nadziei, aby Anglicy zniechęcili się kiedy do Gibraltaru i rozbroili tę groźną strażnicę mającą na oku i śledzącą dwa światy, wiedzą że cenią oni tę skałę jak się ceni niektóre osoby niemiłej powierzchowności, ale w których za każdem bliższem poznaniem szacowne odkrywamy przymioty.

Słońce tak przypiekało, iż dla uniknienia zbytniego zmęczenia, na koniach wjechaliśmy na skałę. Ma ona tylko kilkaset metrów wysokości, ale że jest najzupełniej odosobniona, więc szczyt jej tworzy niezrównany belweder. Urządzono tu oszklony pawilon, mający zwiedzającym służyć za schronienie w razie słoty lub burzy.

Z tej wysokości oko ogarnia niezmierzoną przestrzeń, górując nad Europą od Algesiras do Tarify i nad Afryką, od Ceuty do Tangeru. Między temi dwoma częściami świata, roztacza się nieskończoność dwóch mórz. Wydatnemi zarysy i malowniczym rozkładem, góry przypominają góry Sabaudii nad brzegami Lemanu, lecz zacierają się i nikną w oddali w płomienistym horyzoncie. Wspaniały ten, pełen tajemniczości krajobraz, całkiem przesiąknięty jest poezyą do której mieszają się silnie wzruszające wspomnienia dziejowe, szczęk walk staczanych białą bronią, dym prochu i huk dział.

Gdziekolwiek Anglicy się osiedlą, starają się tak urządzić jak u siebie. Wraz z pakunkami przenoszą swoje nawyknienia i zwyczaje, czy to odnośnie do pracy, czy do zabaw i przyjemności. Nie omieszkali też urządzić w Gibraltarze wyścigów konnych. Ponieważ skała nie przedstawia dostatecznej przestrzeni, tor znajduje się w gruncie hiszpańskim. Udawszy się na jedną taką gonitwę, więcej niż kiedy uderzyła mnie różnica jaką granica wytworzyć może. Z jednej strony wszędzie porządek, karność, wzorowe umundurowanie i postawa; z drugiej nie ma nawet dróg; na wpół zrujnowane domki, mnóstwo żebraków w najgorszych ledwie okrywających ich łachmanach. Niepodobna pominąć celników, którzy jakkolwiek mają tylko do czynienia z używającymi przechadzki, nie posiadającymi żadnych bagaży, umieją zawsze znaleźć sobie sposobność obdarcia ich, ma się rozumieć nie na rzecz skarbu, ale na swoją wyłącznie korzyść. W braku drogi, puszczamy się nadbrzeżnym piaskiem, a bałwany przychodząc w równych odstępach, zacierają ślady licznych wehikułów, jadących prędzej lub wolniej i oklapujących się wzajemnie, dziwiąc się zarazem że toczą się po wilgoci a nie wśród tumanów kurzu.

Choć już po za granicą, jednak plac wyścigowy znajduje się jeszcze wpromieniu o gnia dział z cytadeli. Namioty ustawione są wzdłuż toru, a w wielu z nich stoją stoły a na nich zastawione wszystko czego wymaga obfity *lunche*. Wyścigi odbywają się według wszystkich reguł, nie brak płotów, rowów i strumieni do przeskakiwania — pełno panów i amazonek.

Na tym skraju ziemi gdzie kończy się już Europa, zupełnie po angielsku czas przepędzamy, nie wyłączając hotelu w którym stanąłem. Usługa doskonała, wszelkie wygody zapewnione. Tak już mamy dość cywilizacyi, iż czujemy niepohamowaną chętkę zakosztowania barbarzyństwa. Nią trawiony, byłbym zapomniał wspomnieć o małpach, znajdujących się w Gibraltarze, których kilka okazów, na nieszczęście z daleka tylko widziałem. Wiadomo że czwororękie te zwierzęta pozbawione są ogona. Trudno zaprzeczyć, że to jest fakt nader ważny obalający najzupełniej system Darwina. Nie ulega wątpliwości że dwa teraźniejsze lądy, niegdyś połączone były z sobą międzymorzem na przestrzeni zajętej dziś przez cieśninę Gibraltarską; małpy zamieszkujące tę skałę, oddzielone gwałtownie od swoich marokańskich współbraci i pozostałe na naszym lądzie, na którym wszystko postępowało stopniowo, po dziś dzień pozbawione są jeszcze tego przydatku, jakiego nie posiadały już od czasu wstrząśnień geologicznych. Tak więc wobec innych czwororękich pozostają w warunkach niezaprzeczonej niższości.

(D. c. n.)

Przegląd Teatralny.

Nowe, oryginalne sztuki tak rzadko pojawiają się na scenie naszej, że każde takie przedstawienie wzbudza wśród publiczności silne zajęcie, tem większe gdy sztuka jest poważniejszego pokroju i wychodzi z pod pióra znanego autora, który talentu swego już niejednokrotnie złożył dowody. To też przedstawienie „Pięknej” cztero-aktowego dramatu p. Wł. Okońskiego, z wielką uwagą wysłuchaliśmy jako pracy z talentem napisanej, ale której celu, myśli przewodniej, nie mogliśmy pochwycić. Czy autor chciał przedstawić jedynie obraz wpływu jaki fizyczna piękność kobiety wywiera na tych co ją otaczają i jego skutki? Czy dowieść kilku zdań na początku z naciskiem wypowiedzianych a będących w istocie tylko paradoksami, jak naprzykład takie, że celem życia kobiety jest podobać się, że kobieta piękna koniecznie upaść musi; że brzydka nie ma racyi bytu i prawa do miłości, że w stosunkach pomiędzy mężczyzną a piękną kobietą działają tylko popędy zwierzęce a nie żadne jakiebądź pobudki duchowe. To też w ciągu całej sztuki, nigdzie i w żadnej z osób działających nie przejawiają się one i dramat p. Okońskiego na wskroś realistyczny, usiłuje dowieść koniecznego zwrotu ludzkości, jeśli nie do instynktów czysto zwierzęcych, to przynajmniej do pojęć dzikich ludów, dla których piękno duchowe zgoła nie istnieje.

Rozpatrzmy się w nim bliżej.

„Piękna” (p. Lüde), młoda mężatka, żona zacnego profesora botaniki Bosławskiego (p. Rapacki), odurzająco piękna, istota bierna, prędzej dobra aniżeli zła, męża i dziecko swe kochająca

uczuciem spokojnem, tak naiwnie nawyka do uwielbień i hołdów, że sama mówi: „gdyby najuboższy żebrak przyniósł jej w darze najkosztowniejszą perłę, nie pomyślałaby nawet zkąd ją wziął, lecz wierzyłaby że dla niej ją mieć musi.” Potęgą swej piękności działa na zmysły wszystkich, którzy ją otaczają, ciągnąc za sobą rój wielbicieli, z których żaden nie tai się nawet ze swemi uwodzicielskiemi zamiarami: młody, cyniczny hrabia Ryszard (p. Tatarkiewicz), wzbogacony przemysłowiec Dąbek (p. Leszczyński) i namiętny artysta Mścich (p. Kotarbiński), narzeczony Ireny (p. Wisnowska) zacnej, ukształconej lecz nieładnej panny, a siostrzeniec Zenona (p. Królikowski), człowieka już siwego, turysty, psychologa, powieściopisarza i wielkiego znawcy serc ludzkich a przyjaciela męża „Pięknej”. Ci panowie dążą do jednego celu właściwemi sobie drogami, hrabiątko eleganckim cynizmem i moralnem zepsuciem; dorobkowicz potęgą pieniędzy; artysta upoetyzowaną namiętnością. „Piękna”, dla żadnego z nich ani odrobinki uczucia nie mająca, najszkodliwszy jednak wpływ wywiera, nie przez jakąbądź kokieteryę, ale bezwiednie, fatalnie, a najgorszy na artystę, który zrywa z kochającą go narzeczoną i doprowadza ją do samobójstwa. Wśród tego stanu rzeczy zjawia się doświadczony, rozumny i zacny Zenon, usiłuje oderwać od niej siostrzeńca i połączyć go z Ireną, a samą „Piękną” na zgubnej powstrzymać drodze, bo według jego zdania: „każda piękna kobieta upaść musi.” „Bóbr ginie dlatego że ma piękne futro, koliber że ma świetne piórka.” Kto chce kobietę zabezpieczyć od upadku, niech ją w kolebce zeszpeci i okaleczy. Takie aforyzmy wygłasza autor przez usta człowieka uczciwego, rozumnego i ludzi znającego. Lecz i on po krótkiej chwili ulega urokowi „Pięknej”.

Jednakże „Piękna” nie upada, gdyż w ostatecznej chwili, kiedy ma wyjść z domu na schadzkę z Ryszardem, a naprawdę nie wiadomo co ją tam ciągnie, bo uczucia dla niego nie ma wcale, na progu się zatrzymuje. Przyczyna tego także niczem nieusprawiedliwiona, treść powieści dla niej napisanej a opowiadanej przez Zenona, bynajmniej nie jest dostateczną. Na tem kończy się dramat, pozostawiając nierozwiązanym główny aforyzm Zenona: „pierwszego dnia wstrzyma ją przeszkoda, drugiego obowiązek, trzeciego bojaźń, ale przyjdzie dzień czwarty...” Otóż rozwiązanie tego pytania autor pozostawił słuchaczom. Czy przyjdzie czy nie, ten dzień czwarty?...

Po wysłuchaniu dramatu p. Okońskiego, przykre się uczucie wynosi. Słuchacz zapytuje sam siebie: czego mianowicie autor żąda, jaki jest cel jego utworu? — czy dowieść, że nie ma cnotliwej kobiety pomiędzy pięknemi? Lecz to nie zgadza się ani z uczuciem, ani z doświadczeniem, które wskazuje, iż mamy wiele kobiet pięknych, a zacnych i uczciwych. Czy chce pokazać, że wśród społeczeństwa nie ma innych działaczy nad zwierzęce instynkta, że kobieta piękna nie wywiera innego wpływu jak tylko rozbudzanie zmysłów i że fizyczna piękność jest jedyną, istotną potęgą? Że jest potęgą, to rzecz dawno wiadoma, ale czyż nad nią nie ma wyższego, duchowego piękna? Czyżby autor wcale go nie uznawał? W żadnej z działających osób nie przejawia się ono, nawet w zacnym profesorze Bosławskim, lecz zato cynizm najbezwstydniejszy, nutą przykro drażniącą ucho ciągle się odzywa, dochodzi zaś do najwyższego szczytu w scenie Teresy (p. Ładnowska) z Ryszardem, kiedy ta, dziewczyna młoda, bogata, ukształcona, chce mieć za męża fałszerza i rozpustnika i w tym celu skupiwszy jego fałszowane weksle, przychodzi do niego z niemi w ręku i zmusza do przyrzeczenia, że zostanie jej mężem. Obrzydliwość tej sceny przechodzi granice prawdobieństwa. A może autor chciał dowieść, że tak samo jak do zwierząt i do ludzi teorya Darwina się stosuje.

Chcielibyśmy także aby nam raczył rozwiązać pytanie z jego utworu wypływające: co mają czynić kobiety, których natura nie obdarzyła posągowemi kształtami, kobiety mniej więcej brzydkie? Czy wszystkie do trucizny uciekać się mają jak to czyni Irena?

Sztuka wystawioną była z wzorową starannością a grana jak zwykle na naszej scenie, bardzo dobrze. Jednakże niech szanowni artyści parę małych uwag uczynić nam pozwolą. Panna Wisnowska w intonacyach głosu tak wybornie malująca boleść przepełniającą jej serce i cierpkość uczuć co je zalewa, psuje efekt swej roli ruchem wcale nieestetycznym, a na widzów niemiłe robiącym wrażenie, wyginaniem się w tył całą postacią w miejscach najpatetyczniejszych. Mamy nadzieję, że tak sympatyczna i utalentowana artystka, która tak znakomicie odtworzyła bardzo trudną rolę Ireny, na ten drobny szczegół uwagę zwrócić zechce. P. Tatarkiewicz zcharakteryzowałby wyraźniej postać młodego uwodziciela, gdyby cokolwiek więcej okazywał namiętności i bardziej uwydatniał cynizm roli, po niektórych bowiem takich miejscach z lekka prześlizgiwał się tylko. Od tak inteligentnego i wytrawnego artysty ma się prawo żądać wiele. P. Kotarbiński trudne sceny 2-go aktu, z „Piękną” i scenę zerwania z Ireną, grał znakomicie. W przyciszonym głosie, tak wybornie znać było głębokość tłumionego wzruszenia i namiętności serce przepełniającej, przy umiarkowanych i szlachetnych gestach, że scenę z „Piękną” do najefektowniejszych w sztuce zaliczyć musimy.

O innych artystach nic wyjątkowo powiedzieć nie mamy, chyba winszować autorowi, że tak wyborną obsadę dla swej sztuki pozyskał.

Hieronim Kuczalski.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 listopada 1882 roku.

Od połowy października, w pierwszych tutejszych magazynach, rozpoczęły się wystawy strojów zimowych. Tak wielka panuje w nich rozmaitość, że po bacznym nawet przeglądzie, trudno nam określić główną charakterystykę mody dzisiejszej. Pozmieniano wprawdzie nazwę kolorów, co przecież nie zmienia w gruncie rzeczy: kolor *caroubier*, przezwano dziś *piwoniowym*; ciemnozielony zwany dotąd rozmarynowym lub mirtowym, przerobiono teraz na *jodłowy*, śliwkowy nazwano *skabiozowym*, jasno brązowy stał się kolorem *skóry hiszpańskiej* (*cuir de Cordone*), szary został kolorem *razowego chleba* (*pain bis*), i t. p.

Co do rodzaju tkanin i tu trudno powiedzieć jaki dzisiaj przemaga. Obok tartanów szkodzkich w wielką lub mniejszą kratę, widzimy mnóstwo sukien gładkich, wyszywanych sutaszem w bogaty deseń, lub też ozdobionych przyhaftowanemi liśćmi z pluszu lub aksamitu. Widzimy także tkaniny perskie, przerabiane jedwabiem w palemki lub mozajkę, podobne do tych jakie noszono przed trzema laty, z tą różnicą, że dawniej owa tkanina perska służyła tylko za obłożenie, dziś zaś robią z niej spódniczkę do tuniki z gładkiego kaszmiru, lub też przeciwnie, tunikę do spódnicy kaszmirowej.

Nowość tegoroczną, stanowi tartan angielski, czysto wełniany, nie w kratę ale w ciągniony deseń, nadzwyczaj miękki i układny. Uważaliśmy między innemi deseń morderowy i złoty, na tle granatowem sosnowem lub oliwkowem. Z tej tkaniny robią zwykle spódnicę; dopełnia ubrania kaftanik lub surducik w kolorze odpowiednim do tła, wyszywany sutaszem.

Wiele też widać tkanin z czystej wełny, przerabianych jak adamaszek w kwiaty i liście tegoż koloru, zowią ten rodzaj *satin de laine damassé*. Uważaliśmy suknie takie w kolorach skóry hiszpańskiej, skabiozowym, jodłowym, błękitno elektrycznym, a przeważnie czarnym. Do ubrania służy zwykle aksamit. Miejsce stanika zastępuje często kaftanik aksamitny, obszyty pasmanteryą z dżetem.

W jedwabnych materyach, więcej dostrzegamy nowych pomysłów. Do najmodniejszych, należy aksamit mieniony w dwóch kolorach: np. fijołkowy z ognistym, ciemno błękitny ze złotym, różowy ze srebrno-popielatym. Suknia taka przeznaczona do wielkiego ubrania, ma zazwyczaj dosyć długą powłokę z ruszą atłasową, stanik z bawetem czworograniasto wykrojony i rękawy do łokcia. Pod stanik idzie szmizetka rzęsisto zagarnirowana koronką.

Moda jednak dzisiejsza do najstrojniejszych nawet sukien, wyjąwszy balowych, nie koniecznie wymaga powłoki. Widzieliśmy nawet w jednym z wielkich magazynów, bardzo paradną suknię ślubną, sięgającą tylko do ziemi. Suknia ta z brokatelli w wielkie bukiety atłasowe na tle matowem miała u dołu szeroki wolant z koronki brukselskiej, powyżej zaś draperyą z gładkiego atłasu, tworzącą z przodu długi fartuszek, podniesiony po bokach, złączony w tyle węzłem i pękiem pukli ze wstążki atłasowej. Wątpimy jednak aby się przyjęła ta moda, ślubna suknia z powłoką wygląda wspanialej i lepiej harmonizuje z uroczystym obrzędem.

Piękny dobór jedwabnych materyi, wystawił magazyn *Aux trois quartier*. Do najmodniejszych należy ciężki ryps zwany także *Gros de Tours*, w rozmaitych kolorach: sosnowym, oliwkowym, skabiozowym. Uważaliśmy także ryps, zasiany w rzucik z listków odmiennego koloru. Do takich sukien, spódnica bywa gładka zakończona u dołu riuszą. Inny jeszcze ryps w atłasową kratę, w żywych kolorach, służy tylko do większego ubrania.

Nowość tegoroczną stanowi także materya mieniona w drobne punkciki, czyli tak zwaną gęsią skórkę, zwana *Mozaique cameleon*: kolor oliwkowy mieszany z caroubier, jasno szafirowy z oliwkowym, wydrowy z zielonym i t. p.

Z czarnych materyi, najstrojniejszy ryps w liście aksamitne, obwiedzione perełkami dżetowemi. Na czarne suknie do częstszego ubrania, używane zwykle *poult de soie*, *faille*, *Sycyljanka* i atłas turecki (*satin merveilleux*). Zwyczajny atłas francuzki, wychodzi z mody, zanadto go już nadu-

żyto. Uważaliśmy między innemi piękną suknię gładką rypsową, u dołu spódnicy szedł dokoła wielki wolant układany w kontrafałdy w znacznych odstępach, między jednym a drugim fałdem, naszyta była wypukła pasmanterya. Stanik długi francuzki, przybrany był torsadą i aksamitem.

W zeszłym miesiącu, mówiąc o kapeluszach i okrywkach, nabytych na magazyn pań Kuhnke, zostawiliśmy do przyszłego sprawozdania, opis kilku sukien, wyprawionych ztąd prosto w okolice Kijowa. Dajemy tu szczegółowy ich opis.

Pierwsza suknia strojna z brokateli czarnej w bukiety kolorowe: u dołu sześć wolancików czarnych z *satin merveilleux*, ostatni z wypustką koloru złotego, tworzą u dołu *ballayeuzę*. Stanik do tego czarny, spięty środkiem na parę guzików, pod nim kamizelka z brokatelli. Poniżej stanu przerzucona draperya czarna, tworzy z przodu fartuszek, z tyłu puff rozniesisty.

Druga suknia ciemno zielona, złożona z rypsu i aksamitu wyciskanego w deseń. Z pod spodu wybiega wolant rypsowy, nagarnirowany w kontrafałdy, na to spada suknia aksamitna, wycinana w zęby u dołu. Powyżej draperya rypsowa, przerzucona fantastycznie, łączy się z boku pękiem wstążek. Stanik do tego rypsowy na aksamitnej kamizelce, z kołnierzykiem stojącym, u rękawów mankiety aksamitne.

Trzecia suknia do zwykłego ubrania z ciepłej tkaniny wełnianej w kolorze wydrowym. U dołu spódniczki wązki wolancik, fałdowany w jedną stronę, nad nim drugi szeroki układany w kontrafałdy. Na każdym fałdzie, wyszyty arabesk, sutaszem tegoż koloru. Zamiast stanika długi surducik, wyszyty z przodu w bogaty deseń, haft ten zachodzi szeroko na piersi i poły, zwężony tylko w stanie. Rękawy i kieszenie naszyte odpowiednio.

Do sukien na tańczące wieczory, zapowiadają nową ozdobę: są to pukle z wązkich wstążek w rozmaitych kolorach, pomieszanych razem w wielkie pęki. Przypomina to stroje weselne wiejskich dzieweczek naszych.

Dodajmy jeszcze słówko o nowych okrywkach, które się w tym czasie pojawiły. Długie te płaszcze, zwane *Doge de Venise*, z ciepłej tkaniny wełnianej, w kolorze skabiozowym, jodłowym, wydrowym lub granatowym, lekko wpadają do stanu, ozdobę ich stanowi szerokie obłożenie z pluszu gładkiego z długim włosem, podbite są zwykle fularem jedwabnym *surah*, w żywych odcieniach błękitnym, złotym lub *caroubier*. Kolorowe płaszczyki służą głównie do powozu, na piesze zaś przechadzki, więcej przyjęte czarne lub ciemne, bez jaskrawego podbicia.

Uważaliśmy także okrywki wizytowe, zwane *mantes à la Crecqui*. Robią je z brokatelli w różnych ciemnych kolorach. Z przodu mają formę chustki z zaokrąglonemi końcami, od ramion spadają dość długo, w tyle zaś podcięte są, aby zostawić miejsce rozniesistem puffom. Taka mantyla podwatowana lub podbita lekkiem futerkiem, ma zwykle obłożenie z wydry, skonksów, albo gęstego pluszu w odpowiednim kolorze.

Wśród nowych kapeluszy wpadły nam w oko ładne kapotki czarne. Główka u nich bufiasta aksamitna, na rondku nagarnirowana riusza ze złotej koronki, tworzy jakby aureolę. Czarne piórko strusie dopełnia ubrania. Końce do wiązania ze wstążki rypsowej, wiążą się na wielką kokardę, podpiętą złotemi szpileczkami.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Wypisy polskie ułożył *Adolf Dygasiński*, część średnia. Warszawa 1882 r. str. I — V i 290.

Znany i wysoce a słusznie ceniony nasz pedagog, nową zasługę położył na polu pedagogicznem wydając przez siebie ułożone Wypisy polskie dla II i III klasy.

O Wypisach tych nader starannie i z wielką znajomością rzeczy ułożonych, w rozbiór szczegółowy wdawać się nie będziemy, są one zanadto dobrze i sumiennie opracowane i zasługują na tem większe uznanie i rozpowszechnienie, że p. Dygasiński oparł pracę swoją na tematach i autorach swojskich, których dając poznać młodzi, zapoznaje ją zarazem z dziejami i obyczajami kraju. Całość wydania, dzięki nakładcom pp. Lesmanowi i Świszczowskiemu, jest staranna i w zupełności odpowiadająca wszelkim wymaganiom.

Wspomnienia z podróży po Syryi Gabryela Charmes, przekład *A. Chlebowskiej*. Warszawa, 1882 roku str. 210.

Staraniem redakcyi „Wędrowca", jako dodatek książkowy do tegoż pisma tygodniowego, wyszło obecnie dziełko pod powyższym tytułem, napisane z prawdziwie francuzką werwą i lekkością. Autor zwiedzając Ziemię Świętą, nie był fanatycznym pielgrzymem, lecz zimnym archeologiem i historykiem, dlatego też nie spotykamy tu opisów pełnych zachwytu, uwielbienia i mistycyzmu, lecz poglądy trzeźwe, zapatrywania objektywne i opisy wiernie temu co autor widział i odczuwał. Zapewne że praca Gabryela Charmes nie zadowolni pozornych świętoszków, lecz autor nie podjął jej dla tego rodzaju ludzi, którzy nic więcej nad to nie widzą jak tylko to, co ich wzrok krótki widzieć pozwala, co ich fanatyzm bezmyślny widzieć i rozumieć daje. Mimo tego niezaprzeczoną jest rzeczą, że z całej pracy utalentowanego autora wieje wielkie rozczarowanie. Widać, że autor jadąc do Syryi przesycony już był podróżami, widokami i wrażeniami, że szukał wrażeń nadnaturalnych i że i tutaj doznał zawodu na jaki przygotowanym nie był. Tak sądzić pozwala nam ustęp znajdujący się na str. 30: „Co do mojej osoby, muszę wyznać, że widok Jerozolimy sprawił mi rozczarowanie, dałby Bóg, aby to był ostatni zawód jaki mnie ma spotkać w mieście, gdzie tylu innych szczęśliwszych ode mnie, znalazło urzeczywistnienie najpiękniejszych swych marzeń!"

Podobnie jak G. Charmes, Lamartine opisywał miejsca uświęcone śmiercią Zbawiciela z większym jeszcze realizmem, aczkolwiek był poetą i marzycielem.

Pominąwszy ducha realistycznego wiejącego z dzieła p. Charmes, przyznać musimy, że całość czyta się z niezmiernem zajęciem tembardziej, że na każdej prawie stronicy, w każdym ustępie spotykamy się z nowemi zupełnie poglądami.

Wszyscy ci co znają opisy Ziemi Świętej Chateaubriand'a, Hołowińskiego i t. d., nie wątpimy że i niniejsze wspomnienia z podróży po Syryi czytać będą z zajęciem. Przekład dokonany przez p. A Chlebowską, jest wzorowy, żałować tylko należy, że p. Ch. z ogłoszeniem tego dzieła nie wstrzymała się, aż całość pomieszczoną będzie w *Revue des deux mondes*, gdyż dziś dała nam tylko część pierwszą.

Wł. Kor. Zieliński.

NOWE WYDAWNICTWA.

Wyszła z druku książka pod tytułem *Badania porównawcze w dziedzinie języka*, przez L. Szczerbowicza-Wieczora, do nabycia w Warszawie w księgarniach Gebethnera i Wolffa i Maurycego Orgelbranda, w Płocku u autora. Cena z przesyłką rs. 1 kop. 50.

Elementarz Kazimierza Pvomyka na którym nauczysz się czytać w pięciu lub ośmiu tygodniach, wyszedł z druku w ośmnastem wydaniu, co jak u nas pierwszy raz zapewne ma miejsce. Tym sposobem rozeszło się go już 145,000 egzemplarzy. Jakże to wielce pocieszające!

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Niektóre z pism naszych podały, że ktoś pragnący pozostać nieznanym, ofiarował 150 rs. jako premium za najlepszą komedyjkę napisaną dla teatru amatorskiego grywanego w gmachu i na korzyść Towarzystwa Dobroczynności. Tak już nie dowierzamy konkursom, które tylokrotnie ogłaszane zawsze zawodziły, że prawdziwie zasługującej na nagrodę sztuki widać nie było, skoro nagradzane przez sędziów nigdy prawie przez publiczność uznania nie zyskały. Bodaj i teraz jeźli konkurs ogłoszony zostanie, nie nadesłano utworów o których sędziom taki przyjdzie wydać wyrok, jaki o sztukach nadesłanych na ogłoszony konkurs historyczny odsieczy Wiednia, wydał jeden z członków komitetu wymieniając ich tytuły które podkreślamy:

Krakus w Wiednia odsieczy,
Ramota nie do rzeczy;
Król Jan trzeci Sobieski,
Nie na sceniczne deski;
Król Jan trzeci pod Wiedniem,
Jest głupstwem niepośledniem...
Jeźli reszta tej miary,
Zwróćmy dawcom ich dary —
I znów konkurs do mety...
Poety trza — poety!

I widać „reszta była tej miary" gdyż konkurs dramatyczny z powodu dwóchsetletniej odsieczy wiedeńskiej, przedłużony został do 15 kwietnia 1883 r.

*** Od niejakiego czasu *honoratiores* zamieszkali w Kantonie, użalali się iż miejscowa truppa teatralna wystawia sztuki niemoralne i nieprzyzwoite, skargi te nie pozostały bez skutku i wywołały następującą odezwę naczelnika miejscowej władzy:

„Ja prowincyonalny podskarbi Wong, przekonałem się iż ludność kantonu ma wielkie zamiłowanie do przedstawień dramatycznych. Dlaczego? Dla tego że gdy się bogów czci, należy głównie tę cześć okazywać za pośrednictwem przedstawień dramatycznych. Teatr jest przeto dla ludzi źródłem zabawy i żadne prawa zapobiedz temu ani zamierzają ani zdołają. Wszelako i niezbędnem jest ażeby wystawiane sztuki miały na celu zachęcanie ludzi do bogobojności, do przywiązania do kraju i rodziny. Wystawianie sztuk nieprzyzwoitych prowadzi niemylnie do podkopania moralności. Wielu znakomitych mieszkańców tutejszych

widzi ze zgorszeniem iż sztuki takie często tu są przedstawiane i prosili mnie o niedopuszczanie tych nadużyć. Rozkazuję zatem dyrektorom teatrów, ażeby takie zdrożności odtąd miejsca nie miały, ostrzegając zarazem: iż nie stosujących się do tego rozkazu, nietylko więzieniem, ale cięższemi karami dotknę. Dan 7 dnia 10 miesiąca, 8 roku panowania Tungczyca."

Któż nie przyzna że pan Wong wydaje bardzo uczciwe i logiczne rozporządzenia!

⁎⁎⁎ Donoszą z Tobolska: „W roku 1846 zakupiono w Tobolsku dom dla odprawiania nabożeństwa. Z miejscowych czynnie przyłożył się do składki Moraczewski; z kraju nadesłali zapomogę: p. Róż. Sobańska, książę Sanguszko i inni. Obecnie stoi już kościół drewniany, który za administracyi proboszcza Kuncewicza w roku 1865 czy 1866 otrzymał uposażenie od rządu. Do parafii Tobolskiej należy obecnie cała gubernia Tobolska, w której znajduje się około 5,000 katolików i Polaków. Obecnie administruje tą parafią ksiądz Muszej ze Żmujdzi. Oprócz tego znajdują się jeszcze na Syberyi kościoły katolickie: w Krasnojarsku (miasto gubernialne gub. Jenisejskiej), w Nerczyńsku i w Mikołajewskim porcie. Do parafii Krasnojarskiej należy cała gub. Jenisejska. Kościół drewniany wybudował ksiądz Bernardyn Bielski, z funduszów Hołowińskiego i dzisiejszego metropolity Fijałkowskiego. Administruje parafią ksiądz Lestniewski. W Nerczyńsku proboszczem jest ks. Jurewicz, a w Mikołajewskim porcie, mieście leżącem przy ujściu Amuru do Oceanu Spokojnego, ks. Radziszewski, który z powodu znacznej odległości miast posiadających kościół, jeździ zwykle do spowiedzi do San-Francisco.

⁎⁎⁎ Coraz więcej głów ukoronowanych lub książąt i księżniczek zrodzonych na stopniach tronu, nie waha się ogłaszać utworów swego pióra, tak jak inni najzwyczajniejsi śmiertelnicy.

Cesarz don Pedro pisze dzieła i podróże, król szwedzki dramata i przekłady obcych pisarzy; następca tronu austryackiego arcyks. Rudolf, wrażenia z podróży i rozprawy o polowaniu; książę Fryderyk pruski, dramata (z tych „Fedra" i na naszej scenie była grywaną). Z kobiet: królowa Wiktorya pisze pamiętniki i biografie zmarłego męża swego, księcia Alberta; królowa Elżbieta rumuńska, nowelle i poezye; królowa grecka różne artykuły; księżna Amalja saska napisała obszerne dzieło mające wkrótce wyjść z druku p. t. „Z pamiętników księżniczki" w którem znajdować się mają ciekawe szczegóły odnoszące się do naszych dziejów. W Wiedniu wiele bardzo mówią o talencie pisarskim arcyksiężniczki Waleryi, najmłodszej córki cesarza Franciszka Józefa. Podobno jeden z wiedeńskich wydawców pozyskał upoważnienie drukowania wszystkich jej powiastek i nowelli, pisanych przeważnie w języku węgierskim.

⁎⁎⁎ Rząd japoński zawiesił wydawnictwo radykalnego pisma „Koszi Szimbum"; redakcya zawiadamiając o tem swoich czytelników, zaprosiła ich zarazem na mający odbyć się uroczyście pogrzeb dziennika. O oznaczonej godzinie tysiące osób zebrało się przed gmachem wydawnictwa. Redaktorowie przybrani w żałobne szaty, na własnych barkach wynieśli trumnę, w której złożono ostatni numer pisma. Orszak żałobny przeciągnął przez główne ulice miasta i udał się na cmentarz, gdzie po wypowiedzeniu przez jednego z redaktorów czułego nekrologu, spuszczono trumnę do przygotowanego na ten cel grobu.

⁎⁎⁎ Na kongresie hygienicznym, który niedawno odbył się w Genewie, dr Lombard z Genewy miał odczyt „O wpływie atmosfery na człowieka w stosunku wysokości poziomu ziemi," Przyczynę choroby górskiej (Bergkrankheit) widzi prelegent w stopniowem zmiejszaniu się się ilości tlenu, a to w chwili, gdy muskuły i ciało muszą go spotrzebowywać w znaczniejszej ilości. I to jest powodem cierpień muskularnych przy wstępowaniu na wysokie góry. Oddychanie i obieg krwi stają się szybsze w miarę podnoszenia się poziomu ziemi nad morze. Przebywanie na wysokości 2,000 metrów, wyradza mimo żywszego obiegu krwi i oddychania, brak krwi w organizmie, którą to słabość doktor Jourdonnet nazywał *Anoxyhanemią*. Przebywanie w miejscowościach niżej 2,000 metrów, działa ożywiająco na organizm człowieka.

⁎⁎⁎ Donoszą z Norsköping, w Szwecyi, że zorza północna, którą obserwowano w różnych okolicach północnej i środkowej Europy, objawiła swój wpływ na przewody telefoniczne. Na głównej bowiem stacyi telefonicznej w tem mieście, w chwili największego rozwoju zjawiska, odezwały się dzwonki sygnałowe.

⁎⁎⁎ Połów pereł w zatoce perskiej w tym roku nie był bardzo obfitym, a co gorsza ormiański handlarz pereł z wyspy *Hormuz*, jeszcze w czerwcu, to jest na miesiąc przed zapuszczeniem się nurków, zakupił z góry pereł za półtora miliona franków, co wszystko zapowiada podrożenie tych klejnotów. Z zakupionego połowu, handlarz musiał oddać pięć najpiękniejszych pereł sułtanowi Maskatu, władzcy wysp *Ared* i *Barein*, na których się połów odbywa. Sułtan ten bowiem posiada przywilej wybrania sobie za małem bardzo wynagrodzeniem, dwunastu najpiękniejszych pereł, które przeznacza na naszyjnik dla swej wybranki z haremu.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 26 Октября 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściarni do Tygodnika Mód Nr. 45, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

X.

Blizko o pierwszej nad ranem, Zuzanna wyszedłszy z zakrystyi przed podpisaniem aktu ślubnego, wpadła jak wicher do apartamentu przeznaczonego dla państwa młodych. Brygida klęczała w saloniku przed kominkiem, poprawiając wielki ogień rozrucający swe błyski po całym pokoju. Usłyszawszy otwieranie drzwi odwróciła głowę, i nie wstając i nie kładąc mieszka, uśmiechnęła się wesoło do panny Derblay.

— Co to, zawołała, już panienka wróciła z kościoła? więc już po ślubie?

— Już! już! moja kochana, zostawiłam wszystkich, a sama przybiegłam zobaczyć czy wszystko jest jak należy. Mamy nową panią domu, Brygido, trzeba żeby była zadowolniona ze swego apartamentu.

— A! mogłażby być niezadowolniona, skoro ma w nim mieszkać z naszym kochanym Filipem!... a potem, jeźli ptaszek ładny, to też i klatka śliczna!

I poczciwa Brygida powiodła zachwyconym wzrokiem po wspaniałych meblach z czasów Henryka III-go, i bogatych staroświeckich obiciach pokrywających ściany. Przez na wpół otwarte drzwi widać było pokój sypialny, oświecony lampą, której blade światło odbijało się w ścianach przepysznie rzeźbionej lustrzanej szafy, z czasów Ludwika XVI-go.

— A czy tam już wszystko w porządku? zapytała Zuzanna wskazując pokój.

— Wszystko jak najlepiej, sama się tem zajęłam. Ślub pana wszystkim pozawracał głowy, cała służba biega z kąta w kąt, ani myśląc o robocie. Szkaradne próżniaki!

Potem spoglądając na Zuzannę ze złośliwym uśmiechem, dodała:

— Jak sobie pomyślę że za rok czy dwa, znowu z powodu panienki taki przewrot nastąpi w domu...

Zuzanna zarumieniła się mocno, i odwracając twarzyczkę, rzekła zmięszana:

— Na szczęście nie zanosi się na to, moja dobra Brygido.

— Tak... tem lepiej!... ale kto jest ten ładny pan co podał panience ramię gdyście wychodzili do kościoła? zdawał się jakoś bardzo nią zajęty..

— To margrabia Oktawiusz de Beaulieu, brat panny Klary, odpowiedziała rozglądając się niby po pokoju, aby ukryć pomięszanie.

— Oho! zawołała Brygida grubo się śmiejąc, jakoś zdaje mi się ów pan drużba bardzoby chciał widzieć panienkę przybraną w wianeczek pomarańczowy.

— Co też wygadujesz, Brygido! zawołała mocno zaczerwieniona.

Rozmowę tę przerwał turkot nadjeżdżających powozów; Zuzanna pobiegła do okna. Latarnie powozowe błyszczały w ciemności, rzucając odbłyski na drzewa.

— Otóż i nasi goście! zawołała Zuzanna, i otwierając drzwi weszła do wielkiego salonu właśnie w chwili gdy baronowa, zakapturzona i otulona w futro jak gdyby się wybierała w podróż do bieguna północnego, wchodziła drugiemi drzwiami z baronem i z Oktawiuszem, wołając:

— To my! a! co za szczęście! ogień pali się na kominie... doprawdy zmarzłam jak lód!...

I przysunąwszy fotel usiadła przed kominkiem, unosząc nieco sukni i wystawiając do ognia maleńkie swe nóżki, w atłasowych trzewiczkach. Po chwilce, odetchnęła lżej i odrzuciwszy połowy futra, zawołała: A! teraz mi lepiej!...

Powozy teraz jeden za drugim zajeżdżały przed peron, przywożąc krewnych panny de Beaulieu, świadków pana Derblay i kilka jeszcze osób najbliższych, których niepodobna było nie prosić. Pan Moulinet, Atenais i książę de Bligny, byli na ślubie; wspaniały powóz i liberya galowa użyte zostały przy tej sposobności, ale na nieszczęście tak było ciemno, że przepych tego ekwipażu nie wywarł spodziewanego wrażenia. Moulinet dałby był chętnie sto franków żeby choć księżyc zaświecił— ale satelita nasz nie dał się przekupić i ani wyjrzał z za obłoku.

Były sędzia trybunału handlowego strasznie został rozczarowany. Przyjechał z Paryża w przekonaniu iż będzie na ślubie w wielkoświatowem towarzystwie, a tu wszystko odbyło się jakby u zwykłych mieszczan. Spodziewał się poznać najznakomitsze rodziny, a tu kogoż widzi w salonie? notaryusza który mu spisywał akt kupna dóbr la Varenne, paru krewnych i świadków. Do czego to podobne!

Była jednak chwila że żywo został wzruszony i przyznał że obrzęd ślubny wspaniale przybierał rozmiary, a to wtedy gdy jadąc do kościoła powozy przesuwały się przez całe szeregi robotników pana Derblay, uszykowanych po obu stronach drogi. Poczciwi ludziska, choć nie proszeni na ślub, chcieli jednak widzieć ukochanego zwierzchnika jadącego do kościoła, i odkrywając głowy pozdrowić młodą jego oblubienicę. Przybrawszy tedy świąteczne szaty, stali przed kościołem czekając przybycia ślubnego orszaku. W ciemności, ten blizko parotysięczny tłum mężczyzn, kobiet i dzieci oczekujący w milczeniu, wydawał się jeszcze kilkakroć liczniejszym, i gdy za zbliżeniem powozu, wszyscy odkryli głowy i pochylili czoła, Moulinet silnego doznał wrażenia. Chciał uśmiechać się i kłaniać, jak to widział nie raz u figur urzędowych w dnie uroczyste, ale zaskoczony niespodzianie uczuł jakiś ciężar przygniatający mu piersi, gardło mu się ścisnęło, nie mógł przemówić i tylko śmiał się sam nie wiedząc dla czego.

Przyzwany do porządku surowem spojrzeniem Atenais, wysiadł z powozu z bardzo pompatyczną miną, z podniesioną głową, poprawiając zmarszczki swoich trochę zgniecionych szarych pantalonów. Kościół wydał mu się ciasny i ubogi; z kwaśną miną zajął miejsce w drewnianych stalach, z góry spoglądając na wszystko. Może mniej niż dwadzieścia świec paliło się na ołtarzu, a zacny proboszcz wiejski wystąpił w tych samych szatach jakie miał na sobie przed tygodniem dając ślub córce stolarza. Moulinet przesiąkł trochę staro-wolterowskim duchem, zachciało mu się drwinkować i pochylając się do księcia, zamierzał rozpocząć rozmowę, ale ten zmierzył go takim wzrokiem, iż mu ochota do tego odeszła. Zwrócił uwagę na odbywający się obrządek ślubny, tak skromny jak dla biedaków — tylko na organach przygrywała jakaś umiejętna ręka. Pod zimnem i nagiem sklepieniem, rozlegały się poważnie smutne dźwięki instrumentu.

Książę blady, zmarszczył brwi, i zdawał się głęboko zamyślony. Śpiew kapłana i dźwięki organów przykrość mu sprawiały. Cofnąwszy się myślą w przeszłość, widział się w zaciemnionym kościele Saint-Germain-des-Près, na pogrzebie swego ojca. I wtedy także organy grały tak żałośnie, i tak samo świece gorejące w ciemności, świeciły jak świecące punkciki. Taż sama woń płonących świec woskowych i kadzidła, oddziaływająca i na umysł i na serce. Ale wtedy miał obok siebie ciotkę ze łzami patrzącą na niego, oraz Klarę i Oktawiusza także przybranych w żałobne szaty, i czule ściskających jego dłonie. A teraz był sam jeden— rozłączył się na zawsze z temi ukochanemi istotami które tak go kochały, tak dobre były dla niego. I on dobrowolnie zerwał łączące go z nimi węzły— a ta Klara którą tak kochał zostaje żoną innego; on zaś ma ożenić się z tak obcą mu osobą, której, jak to teraz zrozumiał, służy za narzędzie zemsty. Ciężki smutek go przygniótł — gorzko ubolewał nad swą słabością. Tym którzy go kochali i przytulili sierotę, odpłacił złem za dobre — także to wdzięczność!... Lecz opuszczając Klarę, czyż nie wyrzekł się szczęścia?... ukarał więc sam siebie.

I mimowolnie zaczął porównywać swoje i Filipa postępowanie, i nie mógł nie uznać iż o ile on był niewdzięcznym i samolubem, o tyle Filip okazał się szlachetnym i pełnym poświęcenia. On nie wahał się zaślubić kobiety którą kochał, nie zważając że nie ma majątku—Filip pracował—a on!... I gorzko teraz żałował że tak próżniacze i bezużyteczne wiódł życie. Stanowił jedynie wartość ujemną; zarówno jak zero tak i on dopiero przez dodanie liczby nabierał jakiegoś znaczenia. Chcąc wyciągnąć z siebie jakąś korzyść, trzeba było aby zbogacony mieszczuch zapalił się do jego znakomitego nazwiska; sam z siebie nic nie mógł, na nic się nie przydał, był jakby zbytkowym sprzętem. Można było kupić go sobie jak się kupuje dla parady pięknego rasowego konia.

Te rozmyślania w jakie dotąd nigdy się nie wdawał, obudziły w nim niewysłowiony wstręt do Moulinet'a— uczuł się jego niewolnikiem. Wściekłym uniesiony gniewem, postanowił wybić się z pod jego przewagi i zapanować nad nim,—a jednocześnie Atenais okazała mu się teraz taką jak była rzeczywiście, mieszczanką o ciasnych pojęciach, pozbawioną wszelkiej szlachetności charakteru i wzniosłych uczuć, złośliwą i nikczemnie zazdrośną. Widział ją klęczącą na klęczniku w wymuszonej postawie, w kosztownej sukni, zanadto przeciążonej ozdobami, ziewającą i roztargnioną; od niej zwrócił wzrok na Klarę, pochyloną pod białym osłaniającym ją welonem, jakby w głębokiej zatopioną modlitwie; lecz po lekkiem drganiu ramion, książę odgadywał że płakała.

Obok niej wznosiła się nieruchoma i poważna,

wysoka postać Filipa. Czyż rzeczywiście Klara pokochała tego człowieka i przeniosła go nad księcia?... W tej chwili Gaston odgadł znaczenie postępowania panny de Beaulieu; pojął teraz to co od dwóch tygodni wydawało mu się tak niezrozumiałem; poznał prawdziwe położenie właściciela kuźnic. Patrząc na Klarę tak piękną w swej boleści, w umyśle jego mignęła myśl która wywołała przelotny uśmiech na jego usta. Szczerość i wzruszenie miotające nim przez te parę tygodni, minęło bezwrotnie, i książę stał się znów przeżyłym i zimnym sceptykiem, jakim uczyniło go towarzystwo północy.

I mówił sobie że ten pan Derblay, główny sprawca jego upokorzenia, nastręczy mu sposobność bardzo słodkiej zemsty. Nie, tego znieść niepodobna aby ten kowal czy tam handlarz żelaza miał posiąść na zawsze taką jak Klara kobietę... nie! on tego nie dopuści... Klara płacze—a więc nie cierpi tego człowieka a jego kocha jak dawniej...

I odzyskał zwykłą pewność siebie. Do tej chwili miał smutną i zakłopotaną minę; poczuwszy się na mocnym gruncie, przybrał swobodną i dumną postawę wielkiego pana, ufnego w swą wyższość. Gdy przy końcu mszy, baronowa odwróciła ku niemu głowę, rzucił jej spojrzenie tchnące tak niewysłowionem szyderstwem, że zmarszczyła brwi odgadując nieuczciwe jego zamiary.

Gdy po skończonej mszy, wszyscy przeszli do małej, ubogiej zakrystyi, i panna młoda odsunąwszy welon zaczęła rozmawiać z rodziną i z przyjaciółmi, książę daremnie szukał na jej twarzy śladu łez wylanych przed chwilą. Osuszył je żar jej dumy; rozmawiała najspokojniej, swobodna i uśmiechnięta. Gniewało to księcia; pragnął widzieć ją smutną i znękaną. Pomyślał sobie że dumna Klara nie zechce uledz bez walki, nie wątpił jednak że on potrafi wyjść z niej zwycięzcą.

Wsiadłszy do pysznego powozu wraz z Atenais i przyszłym teściem, musiał wysłuchać uwag i spostrzeżeń Moulinet'a, których tenże nie mógł wypowiedzieć w kościele. Dopieroż to, mówił ex-fabrykant czekolady, miły obrządek! ślub o północy, w kościele ponurym i zimnym jak grób, w którym chłód obejmuje cię całego, jakby płaszcz ołowiany. On całkiem inaczej pojmował taką uroczystość,—a gdy za trzy tygodnie córka jego stanie przed ołtarzem, zobaczą dopiero co to jest wesele. Msza będzie mieć miejsce w kościele św. Magdaleny; zamówił już jak największy przepych... Cały chór będzie oświetlony; kwiaty, wielkie drzewa, nakoniec chóry i sole...

— Sola, przerwał książę, którego zaczynało już drażnić to popisywanie się z bogactwem.

— Sole czy sola—wszystko jedno, odparł Moulinet, nie przywiązujący wielkiej wagi do tak małej różnicy w zakończeniu. Dalej, mówił były sędzia trybunału handlowego, śpiewy wykonane będą przez najpierwszych artystów opery... wszystko co może być najdroższego — sam Faure otrzyma 15,000 fr... Ale cóż to dla niego znaczy!... Przecież Moulinet nie codzień wydaje córkę zamąż—musi się pokazać aby długo o tem mówiono...

— Eh! panie, choćby jak najmniej mówiono, zawsze to będzie za wiele! odrzekł książe tonem ostrym jak ostrze noża.

— Ależ, mój zięciu... chciał odpowiedzieć zdetonowany Moulinet.

— Ależ panie, przerwał raz jeszcze książę, najpierw nie jestem jeszcze jego zięciem, a potem zobowiązałby mnie pan bardzo zaprzestając nadawać mi tej nazwy, gdyż nie może być nic triwialniejszego, więcej trącącego sklepikiem. Nakoniec zwrócę uwagę pana że przybyliśmy już do pana Derblay, prosząc jak o łaskę abyś mówił jak najmniej, a wszystkim nam to na lepsze wyjdzie.

Gdy powóz stanął, książę wysiadł powoli i uprzejmie podał ramię wysiadającej Atenais, podczas gdy nie żartem zakłopotany Moulinet, zadawał sobie pytanie: czyby książę miał go za głupca?

W wielkiej sali pałacu Pont-Avesnes, margrabina de Beaulieu zagłębiona w wielkim fotelu, cicho rozmawiała z Bachelin'em. Właśnie rano dnia tego prosiła starego notaryusza, aby uzyskał od Filipa upoważnienie zawiadomienia Klary o rzeczywistem jej majątkowem położeniu; skoro ślub się już odbył, margrabina uważała iż sama słuszność nakazuje dać poznać młodej kobiecie jej ruinę i zarazem szlachetną bezinteresowność kochającego ją męża. Będzie to także nagrodą delikatności Filipa.

Ale pragnąc oszczędzić Klarze przykrości i nieprzyjemności, pan Derblay stanowczo sprzeciwił się temu. Nie chciał aby wstępując w progi jego domu, uczuła się upokorzoną na pierwszym zaraz kroku. Po cóż zasmucać tak tkliwą i delikatną istotę, dla tego tylko aby zadowolnić jego miłość własną, i zniewolić Klarę do kłopotliwych a może upokarzających podziękowań? Uważał niegodnem siebie aby podobnemi sposobami chcieć pozyskać względy pany de Beaulieu... on pragnął od niej czegoś więcej jak wdzięczności... pragnął pozyskać jej serce.

— Uczynię jak chce pan Derblay, kochany Bachelin, odpowiedziała margrabina, ale doprawdy, nie wiem czy będąc na jego miejscu zdobyłabym się na to.

Przyznam ci się że podziwiam pana Derblay; poglądy jego tak trafne i przestronne, charakter i pojęcia nadzwyczaj szlachetne. Rzeczywiście jest to człowiek niepospolity.

— Raczy pani margrabina przypomnieć sobie, iż gdy miałem zaszczyt mówić z nią o nim, powiedziałem to wszystko. Filip jest prawdziwym szlachcicem.

— Prawda, natrafiliśmy na prawdziwą perłę, i tobie to zawdzięczamy... Należy spodziewać się że i Klara potrafi ocenić męża jak na to zasługuje.. Ale patrz, Bachelin, jaka ona blada!

Stary notaryusz obejrzał się. Śmiertelna bladość pokrywała twarz Klary; wydawała mu się jak Julja podnosząca się z grobu na głos ukochanego. Książę zbliżył się do niej i pochylając głowę, rzekł ze smętnym na ustach uśmiechem:

— Mamy odjeżdżać, ale przedtem chciałem koniecznie pomówić z tobą... Serce moje przygniata smutek i niepokój... jednem słowem możesz mnie uspokoić... bądź dobrą, Klaro, powiedz że mi przebaczasz...

Klara dumnie podniosła głowę, i orzucając księcia tryumfującem spojrzeniem, odpowiedziała pewnym, ani trochę nie drżącym głosem:

— Zapomniałam dawno o wszystkiem—kocham mego męża... Żegnam księcia.

Bligny drgnął; ale odpłacając za przechwałkę zuchwalstwem, rzekł:

— Pragnę abyś mówiąc to była szczerą — i po chwili dodał niemal groźnym tonem: Do widzenia Klaro.

Poczem skłonił się i odszedł.

— Już książe odjeżdża? rzekł zatrzymując go baron.

— Tak, odrzekł zimno; nie mam tu już co robić — teraz kolej na męża.

— Oho! rzekł baron, w słowach księcia czuć gorycz—czyżby widok Klary poślubionej innemu, obudził żal w twem sercu?

De Bligny szyderskiem spojrzeniem wskazał Klarę, zaledwie mogącą utrzymać się na nogach, mówiąc:

— Żal? chyba nie moim jest on udziałem.

— Kochany panie, jest to odpowiedź strasznie zarozumiała i niepomiernie śmieszna, rzekł pan de Préfont. Ale skoro już masz się za tak niezwyciężonego zdobywcę, proszę chciej zrobić mi tę przyjemność... spojrz na pana Derblay i przypatrz się czy wygląda na męża któremu można zabrać żonę.

Książę popatrzył na wysoką, tchnącą siłą i odwagą postawę Filipa. Ogorzała twarz jego zdradzała wyrazem swoim energię i stanowczość... Strasznym być musiał gniew takiego człowieka.

— Bah! rzekł nareszcie z lekceważeniem, już od czasów Wulkana, kowale nie mieli szczęścia.

— W każdym razie, radzę nie zapominać o młocie, rzekł poważnie baron.

Bligny niedbale wzruszył ramionami i podszedłszy do stojącego we drzwiach Moulinet'a, rzekł mu:

— Możemy jechać jeźli pan chce.

— A! może książe być pewnym że nie każe mu czekać na siebie... cóż to za przyjęcie! zawołał były sędzia trybunału handlowego... nawet szklanki wody nie podano nikomu!... U nas mieszczan, nazwanoby to strasznie nędznem weselem. Zobaczy książę jak ja to urządzę... Wydam dwa obiady i bal które dopiero narobią hałasu... To też gdy goście nasi się rozejdą, nikt nie uczuje pustki w żołądku.

I mógł tak długo jeszcze rozwodzić się nad zamierzonym przepychem, gdyż książę nie słuchał jego mowy. Patrzył na Atenais żegnającą się z Klarą, zbliżyła się do niej i ująwszy jej rękę, wygłaszała za zbyt natarczywie swoje uczucia.

— Przez lato będziemy tak blizko siebie, — ztąd do la Varenne milka tylko... ale jakże mi cię w zimie brakować będzie!... Paryż bez ciebie wyda mi się pustynią... Czyż pan Derblay już tak bez litości uwięzi cię w Pont-Avesnes i nie pokaże światu?... Wiem dobrze iż niczego tu nie zapragniesz — kochasz i jesteś kochaną... Przyrzecz mi przynajmniej że nie zapomnisz nigdy o mnie czy to w radości czy w smutku, gdyby ten mógł cię dosięgnąć... wszak wiesz że zawsze przyjmę w nich udział...

Okrutne te i podstępne słowa obiły się o niewzruszoność Klary.

— Możesz być pewna, odrzekła, że oceniam twoją przyjaźń jak na to zasługuje... ale wiesz że szczęście nie potrzebuje powierników — to też i ja milcząco szczęśliwą będę.

Szalonym miotana gniewem, straciwszy nadzieję upokorzenia swej niezwalczonej nieprzyjaciółki, Atenais chciała jej przynajmniej dokuczyć raz jeszcze:

— Uściskaj mnie! rzekła; czy zgoda?

— I owszem, odrzekła bez wahania Klara, i rozpalonemi ustami dotknęła lekko czoła Atenais.

Czując że siły ją opuszczają, Klara ujęła pod rękę stojącą w pobliżu baronową, i pociągnąwszy ją ku drzwiom, rzekła:

— Wyjdźmy! tchu mi brakuje.

Margrabina zaniepokojona, wyszła za córką. Twarz Klary zmieniła się w jednej chwili; oczy zapadły głęboko, usta ściągnęły, zdawała się blizką zemdlenia. Ale raz jeszcze moc duszy zapanowała nad słabością ciała; spojrzała tkliwie na pochyloną ku niej matkę:

— To nic, rzekła, nieco utrudzenia, wzruszenie... Ale czuję się już lepiej.

I rzeczywiście twarz jej pokrył gorączkowy rumieniec, oczy błyszczały. Margrabina, przed którą córka ukrywała starannie miotające nią udręczenia, pierwszy raz powzięła w tej chwili podejrzenie, że Klara ją oszukiwała — czy więc, myślała, ten związek z którego sama tak była zadowolniona, zapewne

jej szczęście na jakie zasługiwała? Czyż Klara zawarła ten związek ze spokojem i ufnością? Biedna kobieta w tej jednej chwili myślała więcej niż w ciągu minionych dwóch tygodni, zadając sobie mnóstwo pytań na które odpowiedzieć nie mogła. Nawykła poddawać się woli innych, znosić przeniewierzanie się męża, ulegać tkliwemu despotyzmowi córki, poddawać się losowi, nigdy ani pomyślała o odpowiedzialności. Należała do tych istot słabego charakteru, które stosują się do każdego położenia, i ani im w myśli postanie aby można było próbować zmienić lub złagodzić swoje przeznaczenie. Pozwoliła Klarze postąpić jak chciała, i teraz po raz dopiero pierwszy zapytywała samej siebie, czy nie zawiniła nieprzezornością. Zaniepokojona niewymownie, w oczach córki szukała usprawiedliwienia. Przycisnęła ją do serca pytając:

— Wszak jesteś szczęśliwą, dziecię moje ukochane... Bo widzisz teraz już władza moja macierzyńska ustaje... będziesz panią swego życia i woli. Powiedz mi że nie pominęłam nic co było w mej mocy, aby ci zapewnić szczęście...

Klara wyczytała w oczach matki dręczący ją niepokój; zdobyła się na ostatni wysiłek aby ją złudzić, i rzekła całując jej ręce:

— Tak, matko droga, jestem szczęśliwa, bądź zupełnie spokojna.

A gdy, usłyszawszy te słowa, margrabina zalała się łzami, Klara mówiła stłumionym głosem:

— Nie rozrzewniaj mnie, matko kochana... mógłby ktoś myśléć... nie dopowiedziała swej myśli, i rzucając się nerwowym ruchem w objęcia matki, dodała:

— Idź już, matko najdroższa, trzeba nam się rozstać... bywaj zdrowa... do jutra!...

Złudzona pozornym spokojem córki, margrabina uspokoiła się także i wróciła do salonu. Jednocześnie do pokoju pani Derblay weszła Zuzanna z Brygidą. Nie spuszczając się na zręczność poczciwej sługi, chciała jej pomagać. I dobre dziewczę, lekka jak ptaszek uwijała się po pokoju, wglądając w najdrobniejsze szczegóły. Klara patrzyła na nią w milczeniu, z niezadowolnieniem i podejrzeniem zarazem, myśląc sobie z gniewem że siostra męża śledzić ją będzie w każdej chwili, a powodowana i oświecona nieograniczonem do niego przywiązaniem, dojrzy każde zblednienie, każdy niepokój i upadek ducha. Uważała ją za naturalnego szpiega, i uniesiona nieusprawiedliwioną niechęcią, znienawidziła łagodną Zuzannę.

Usłużne dziewczę, niczego się nie domyślając, odpięła i zdjęła z głowy Klary welon i wieniec pomarańczowy, i trzymając w ręku, zaczęła delikatnie prostować zagięcia koronki i niektóre przygniecione kwiatki, miotana widocznie jakiemś tajemnem życzeniem, którego objawić nie śmiała. Nareszcie przysunęła się do pani Derblay i rzekła rumieniąc się:

— Siostrzyczko, w naszej okolicy wierzą w to silnie, że kwiatek odjęty z wieńca drogiej nam oblubienicy, przynosi szczęście; czy pozwolisz mi wziąść jeden?

Klara zimno spojrzała na nią, i odrywając prędko wianek zdobiący jej welon, rzuciła jej go, wołając:

— Jeźli kwiaty te mają przynosić szczęście, są dla mnie najzupełniej bezużyteczne... Masz, weź je sobie wszystkie.

Zuzanna cofnęła się zadziwiona, kwiaty padły przy jej nogach, i rzekła zwracając na Klarę łzami zalane oczy:

— Tak nie dbasz o te kwiaty, a przecież to brat mój ci je ofiarował!..

Wzruszona łagodnym wyrzutem dziewczęcia, Klara zastanowiła się chwilkę, ale gwałtowność jej charakteru wzięła górę, i ręka wyciągająca się ku Zuzannie, opadła zamknięta i zimna.

Zostaw ją, drogie dziecię, rzekła baronowa do Zuzanny,—Klara potrzebuje spokoju... Nie smuć się i weź ten bukiecik, zapewnie niedługo przypniesz podobny.

I ze słodkim uśmiechem odprowadziła pannę Derblay do drzwi salonu, poczem, wracając do Klary siedzącej z nieruchomym wzrokiem i zatopionej w boleśnych myślach, rzekła do niej:

— O czemże myślisz, Klaro? Zrobiłaś taką przykrość temu dziewczęciu bez najmniejszego powodu. Czyż nie możesz zapanować nad rozdrażnieniem nerwów? Powiem ci szczerze, dodała, probując żartować, że gdyby cię prowadzono na śmierć przy dźwiękach żałobnego marszu z piątego aktu *Żydówki*, nie mogłabyś mieć więcej przerażonej miny.

Klara z takim wyrzutem spojrzała na nią, iż zmieniając ton mowy w jednej chwili, rzekła poważnie:

— Co tobie? powiedz mi, proszę.

Klara wstała, machinalnie przeszła kilka kroków, poczem zwracając się do baronowej, ujęła jej ręce mówiąc:

— Czyż nie widzisz jak strasznie cierpię?... w głowie mojej taki chaos iż zdaje mi się że oszaleję... Za chwilę, wy wszyscy co mnie kochacie, odjedziecie, a ja zostanę sama w tym wielkim obcym mi domu.. Gdzież się mam zwrócić, gdzie szukać oparcia. Pękło wszystko co mnie wiązało z przeszłością, rozwiało się wszystko co mogło nęcić mnie w przyszłości.

— Rozpaczasz tak jakbyś rzeczywiście przez wszystkich była opuszczoną... czyż nie kochamy cię jak dawniej — czyż nie otoczy cię nowe, gorejące, pełne poświęcenia przywiązanie? Mąż twój kocha cię i uwielbia... ufaj jego miłości, będziesz szczęśliwa.

Baronowa przestała mówić, zobaczywszy jak gwałtownie Klara drgnęła, usłyszawszy wyrazy „twój mąż".

— O! gdybyś wiedziała co się we mnie dzieje! wyszeptała młoda kobieta. Ten związek, który wbrew wam wszystkim zawrzéć chciałam, uniesiona obrażoną dumą, obecnie przejmuje mnie wstrętem... Chciałabym uciec na krańce świata od tego człowieka który został moim mężem... Słuchaj, nie opuszczaj mnie, zostań tu, nie będzie śmiał przyjść dopóki będziesz ze mną... Oh! jakże ja nienawidzę tego człowieka, przez którego pierwszy raz w życiu zaznałam co to jest obawa!..

— Mój Boże! przerażasz mnie, Klaro. Matka twoja pewnie nie odjechała jeszcze, czy chcesz abym poszła poprosić ją do ciebie?

— Nie! zawołała żywo Klara—nie chcę aby wiedziała o tem! czyż nie widziałaś jaki przymus zadawałam sobie w obec niej? Niech nie zna miotającego mną przerażenia... niech nie zna mojej rozpaczy. Dobra, kochana matka, jedynie przez miłość, przez słabość dla mnie, zezwoliła i zachęcała mnie do zawarcia tego związku... Gdyby mogła odgadnąć... Nie! nie!.. niech sama cierpię! Co się stało, stało się z mojej wyłącznie woli, sama więc powinnam ponieść karę... To utyskiwanie nie ma wytłomaczenia i jest mnie niegodnem... Bądź spokojną... nie powtórzy się więcej!..

Zaniepokojona cierpkością głosu i gwałtownością wyrażeń, baronowa zaczęła się w nią wpatrywać, co spostrzegłszy Klara nadała swej twarzy nieprzeniknioną wyraz, i rzekła zwykłym głosem:

— Idź do męża, kochana Zofio i bądź zupełnie spokojną. Uściskaj mnie, i zapomnij wszystkiego com powiedziała, zanim przestąpisz próg tego pokoju. Czy przyrzekasz mi to?

— Najchętniej, odrzekła baronowa. Do jutra.

I tłumiąc westchnienie raz jeszcze spojrzała na kuzynkę i wyszła wyszeptawszy: „Biedna Klara!"

XI

Klara zostawszy sama w obszernej komnacie, powiodła wzrokiem do koła. Był to salon poważny, usposabiający do rozmyślań. Lampy rzucały bladawy odblask na staroświeckie makaty pokrywające ściany. Był to cały szereg scen miłosnych Renolda i Armidy. Pod namiotem z purpury i złota, rycerz leżący u nóg czarodziejki podnosił z uśmiechem, omdlewającą dłonią, wielką cizelowaną czarę. Nieco dalej, szli przez las dwaj rycerze oswobodziciele, usuwając za pomocą zaczarowanej tarczy, potwory usiłujące zagrodzić im drogę. Nakoniec w bitwie stoczonej pod murami Jerozolimy, przez chrześcian z wojskiem Sudanu, Armida, stojąc na swoim wspaniałym wozie ciągnionym przez białe jednorożce, rzucała zawzięcie na Renolda okrytego krwią niewiernych, pociski swego kołczanu. Prześliczny kufer *à la renaissance* hebanowy, inkrustowany marmurem, stał w rogu pod ścianą, naprzeciw wspaniałego łóżka z kolumnami, ozdobionego bogatą rzeźbą, z pawilonem z genueńskiego aksamitu. Prześliczna skrzynia z szufladami, w stylu Ludwika XIII, z czarnego drzewa ozdobionego bronzami, zastępowała dzisiejsze brzydkie i niekształtne komody. Wielkie zwierciadło, ujęte w ramy brązowe delikatnie rznięte w liście, odbijało w sobie gasnące płomienie ognia palącego się na kominku, po nad którym zawieszony był znakomity obraz szkoły hiszpańskiej, przedstawiający jasnowłosą infantkę przybraną w sztywny wymuszony strój; podbródek jej spoczywał na wielkiej koronkowej kryzie; wąchała różę uśmiechając się smutnie. Przepyszne bronzy przytwierdzone do ścian, kryształowy flamandzki żyrandol spuszczający się od sufitu, uzupełniały to bogate i skromne zarazem umeblowanie.

Klara obojętnie spoglądała na wszystko, zatopiona w głębokiem rozmyślaniu. Dopókąd kierowała nią gorąca żądza obrażonej dumy, nie myślała jakie położenie gotuje sobie, pragnęła zawrzéć ten związek nie zastanawiając się, jakie on za sobą pociągnie następstwa. I gorączkowo przyśpieszała ślub, aby nim zmazać w oczach świata, zniewagę wyrządzoną jej przez księcia de Bligny. Aż oto nagle znalazła się w obec brutalnej rzeczywistości. Samo urządzenie tego pokoju stawiało jej przed oczy co ją czekało—i oburzała się na siebie i na Filipa. Siebie uważała za szaloną że mogła pomyśléć i zawrzéć podobny związek — Filipa za nikczemnego że się nań zgodził. Rozpaczliwe myśli ścierały się w jej głowie. Podeszła do okna i otworzyła je; chłód nocny orzeźwił ją nieco. Wysunięty z za chmur księżyc srebrzył swem światłem wielkie drzewa parku; tarcza jego odbijała się w wód zwierciadle—cisza i spokój zaległy wszędzie. Klara pytała siebie czy nie lepiej byłoby spocząć na wieki w tej głębokiej ciszy, niż walczyć ciągle ze wstrętnemi trudnościami życia. I przyszło jej na myśl udać się nad brzeg tych nieruchomych zwierciadlanych wód, i jak blada oblubienica Hamleta, rzucić się w ich tonie z niepokalaną, jedyną miłością swoją. Ale dbałość o opinię świata, o to co świat ten powie, która już tak zgubnie oddziałała na jej postanowienia, powstrzymała ją od tego rozpaczliwego kroku. Gorzki uśmiech wykrzywił jej usta, na samą myśl iż Atenais rozpowiadać będzie mogła,

iż z miłości dla księcia odebrała sobie życie. Ulękła się rozgłosu jaki wywołałby w jej towarzystwie ten romantyczny życia koniec, a nareszcie nie chciała tak ciężko zasmucić matki i rodziny, nie chciała samobójstwem pogrążać ich w rozpaczy zgrozę oniemal budzącej. Spojrzała raz jeszcze na śpiące i błyszczące wody, i zamknąwszy okno usiadła przed kominkiem.

— Stało się! zrozumiała teraz że nie należy już do siebie. Musiała żyć; żyć przykuta do człowieka który uzbrojony w swoje prawa, mógł każdej chwili przyjść do niej, dotąd tak niezależnej i samowolnej, i powiedzieć: „ja tak chcę.” I ogarnął ją gniew i obawa zarazem; duma jej oburzała się na tę narzuconą podległość. Nie chcąc jej się poddać, szukała sposobów, mocą których mogłaby wymódz na mężu aby jej wrócił wolność.

I wymarzyła sobie taki rodzaj małżeńskiego pożycia, któreby obojgu zapewniało najzupełniejszą swobodę. Nie obchodziło ją bynajmniej czy Filip pozostanie jej wiernym, pragnęła tylko od niego uszanowania i uległości. Niech robi co mu się podoba, z warunkiem że i ona pozostanie panią siebie. Przecież można pewnie bez wielkich trudności otrzymać od właściciela kuźnic,—zapewnie żądnego wyniesienia—aby miał pewne względy dla kobiety wnoszącej w dom jego znaczny majątek i wysokie wpływy rodzinne. Zrozumiała jednak że ją kochał, tylko nie chciała uczucia tego brać w rachunek. Z despotyzmem kobiety przyzwyczajonej aby wszystko ulegało jej zachciankom, odrzucała tę zawadzającą jej miłość, i postanowiła sobie stawić czoło Filipowi, jeżliby się okazał wymagającym. Była dumną i energiczną, zdolną do oporu i walki. Nie wątpiła ani chwili że pokona choćby najpoważniejszy opór, i zatopiona w swym nieubłaganym egoizmie, ani pomyślała jak strasznie zrani serce tego człowieka który kochał ją tak bezgranicznie.

Zadrżała nagle usłyszawszy odgłos kroków w przyległym pokoju; wszystka krew uderzyła jej do twarzy. Bezwiednie zerwała się z krzesła i cała drżąca oparła się o wierzchnią ramę kominka, szepcząc: To on.

Gdy już goście się rozjechali i Filip sam pozostał, machinalnie prawie zwrócił kroki do swego kawalerskiego pokoju. Ten w którym miał zamieszkać z żoną, zajmowali kiedyś jego rodzice. I myślał sobie z roskosznem pomięszaniem że tuż blizko, oddzielona tylko przez kilka drzwi, ta którą tak kocha i uwielbia, więcej jeszcze niż on wzruszona, oczekuje na niego w swej białej szacie. Jakże często przez te parę tygodni marzył o tej błogosławionej chwili, w której piękną tę dziewicę pochwyci w objęcia i dreszcz rozkoszny przebiegał całą jego istotę. Nie mógł pojąć dla czego teraz jest tak spokojnym i poważnym, raczej słodko wzruszonym niż podnieconym. Jakaś opiekuńcza tkliwość podwajała miłość jego dla Klary; uważał sobie za obowiązek uleczyć jej biedne serce—i w duszy jego zbudziło się dla niej podobne uczucie, jakie żywił niegdyś dla siostry gdy jeszcze była dzieckiem. I z głębi serca dziękował Opatrzności iż dozwoliła mu posiąść skarb tak dawno pożądany, i przyrzekł sobie stać się godnym tej tak wielkiej łaski, nieustannem czuwaniem nad spokojem i szczęściem Klary.

Nakoniec spostrzegł się że zatopiony w tych marzeniach, przesiedział tak w fotelu z pół godziny po odjeździe gości— wtedy uśmiechnął się myśląc iż mógł lepiej użyć tego czasu. Wstał prędko, i postać jego odbiła się w wielkiem przeciwległem źwierciadle; zobaczywszy się w ślubnym ubiorze, z bukietem przy boku i w białym krawacie na szyi, przeszedł do gabinetu przywdziać ubiór codzienny, poczem z bijącem sercem, ogarnięty niewysłowionem wzruszeniem, zwrócił kroki ku pokojowi Klary. Przeszedłszy salon, zapukał lekko do drzwi, a nie odbierając odpowiedzi, wszedł do pokoju.

Klara nie zmieniła jeszcze ślubnej sukni, milcząca i poważna stała wsparta o kominek; nie odwróciła się gdy wchodził, tylko spuściła nieco głowę, a promienie światła kominkowego łamały się w grubych splotach jej jasnych włosów. Filip wszedł zwolna i zaledwie zdołał wymówić:

— Czy pozwolisz mi zbliżyć się do siebie?

Skinęła potakująco głową.

Korzystając z upoważnienia, Filip postąpił kilka kroków i usiadłszy na kozetce, spojrzał uważnie na Klarę; zadziwił go cierpki i ostry wyraz jej twarzy. Widywał wprawdzie jak groźną i dziką stawała się śliczna jéj twarzyczka, ilekroć znajdowała się w obecności księcia—lecz wtedy uzbrojoną była do walki—czyżby i teraz gotowała się do niej? Nie odgadywał zamiarów młodej kobiety, ale instynktem przeczuwał opór. Zapragnął przeniknąć to serce tak uparcie zamknięte i poznać słowo zagadki, i o ile przed chwilą był silnie wzruszony, o tyle teraz nagle uspokoił się i był panem siebie.

Niekorzystną była dla Klary ta zmiana usposobienia Filipa; nad zmięszanym i wahającym się łatwo było zapanować — ostrzeżony poniekąd, odzyskiwał przenikliwość i energię do walki.

— Po raz pierwszy rzekł od chwili poznania jesteśmy sami, a tak pragnąłem wypowiedzieć choć w części co serce moje czuje dla ciebie... dotąd nigdy nie śmiałem mówić... lękałem się że nie potrafię wyrazić mych uczuć... Dotąd całe życie ciężkiej oddawałem się pracy, nie miałem czasu ani sposobności bywać w salonach... To też błagam cię bądź pobłażliwą... to co czuję stokroć więcej warte od tego co mówię... Zauważyłaś pewnie iż nie raz zbliżyłem się do ciebie i wyszeptawszy słów kilka zamilkłem, z obawy abyś nie pomyślała że jestem za śmiałym lub za lękliwym... i obawa ta zamykała mi usta... I tylko milcząc słuchałem ciebie, a dźwięk głosu twego wydał mi się jakimś niebiańskim śpiewem... Zapominałem o wszystkiem zapatrzony w ciebie gdy przechadzałaś się po tarasie, a padający promień słońca otaczał cię jakby świetną aureolą. Ubóstwiałem cię i głęboko weszłaś do mej duszy... i stałaś się jedyną moją myślą, nadzieją, życiem... To też łatwo pojmiesz co się dzieje w mem sercu w tej chwili gdy patrzę na ciebie, jestem przy tobie i wiem że jesteś moją, moją na zawsze.

I ujmując rękę Klary, Filip przycisnął ją do swego rozpalonego czoła. Cofnęła się i wysunęła rękę.

— Przez litość... panie... wyszeptała znękana.

Podniósł żywo głowę i zadziwiony spojrzał na Klarę.

— Co tobie? zapytał. Czy nie podoba ci się co powiedziałem?... byłżebym tak nieszczęśliwy...

— Nie mów mi pan tego w tej chwili, przerwała łagodnie... proszę o to... wszak widzisz jak jestem zmięszana...

Słowa te i smutek przebijający w głosie Klary, żywo wzruszyły Filipa. Spojrzał na żonę, mówiąc:

— Ach! widzę, jesteś tak drżąca i blada... Czyż to z mojej przyczyny?...

Klara odwróciła oczy aby ukryć dwie łzy spływające na policzki, i odrzekła drżącym głosem:

— Tak.

— Uspokój się, błagam cię! czyż nie czujesz że tego tylko pragnę abyś była zadowolnioną? Powiedz mi co mam czynić, czego żądasz? rozkazuj! dla ciebie wszystko łatwem mi będzie... ja cię tak kocham!...

Klara drgnęła radośnie; w otaczających ją ciemnościach zabłysła iskierka nadziei. Namiętne słowa męża dały jej poznać jak bezgraniczną władzę posiadała nad nim, i zapragnęła skorzystać z niej i nadużyć bezlitośnie. W tym celu po raz pierwszy spojrzała na Filipa z zalotnym uśmiechem, mówiąc:

— Jeźli mnie kochasz, więc...

Nie dokończyła, ale zrobiła ręką ruch który Filip zrozumiał:

— Chcesz żebym odszedł? rzekł z uległością; więc to jest próba na którą podobało ci się mnie wystawić?... Poddam się jej skoro taka wola twoja.

Klara odetchnęła radośnie; czuła teraz że jest wszechwładną panią tego który przed chwilą tak ją przerażał. Wyraz jej twarzy zmienił się natychmiast, zwróciła się do Filipa z rozpromienionem czołem.

— A więc tak... odejdź pan, będę mu za to nieskończenie wdzięczna... Doznane dziś wzruszenia osłabiły mnie i rozdrażniły niesłychanie... potrzebuję spokoju, chcę zebrać myśli i zastanowić się nad sobą. Jutro, później, gdy będę już mogła więcej zapanować nad sobą, wytłomaczę...

Filip milczał chwilę; niektóre słowa Klary, a szczególniej ton jakim je wymówiła zadźwięczał mu fałszywie. To zakłopotane odkładanie wydało mu się podejrzanem; czuł w tem coś tajemniczego co wyjaśnić zapragnął.

— I cóż takiego powiesz mi jutro czy później, czegobym dziś wysłuchać nie mógł? zapytał. Losy i życie nasze jest już nierozłącznem — droga nasza już wytknięta... Ty masz ufać mi i być szczerą—ja cierpliwym i pełnym poświęcenia.. Ja gotów jestem spełnić co mi przypada w podziale—czy jesteś w takiem samem usposobieniu?

Filip wyrażał się jasno i stanowczo, a mówiąc to patrzał w oczy żony. Klara obawiała się czy nie posunęła się za daleko, i chciała cofnąć się zręcznie.

— Pozwól pan powiedzieć sobie że zaufania nie można nabrać na zawołanie, odpowiedziała. Zaledwie parę godzin upłynęło od ślubu, a życie me jeż sięga przecież daleko dalej... Dzięki kochającej matce i rodzinie, było ono dotąd bardzo szczęśliwe... Wolno mi było myśleć głośno, milczeć lub mówić,—nigdy nie potrzebowałam udawać lub kłamać. Wiesz pan że los nie oszczędził mi zawodu i smutku — otóż starano się krzepić mnie i pocieszać; pojmowano że niepodobna zatrzeć wspomnień w jednej chwili... nie żądano abym się uśmiechała gdy żal ściskał serce... Widzisz pan jak mnie pieszczono i psuto — jeźli więc mam być zniewoloną udawać i ukrywać w obec pana co się dzieje w mej duszy, przez litość daj mi czas oswojenia się z takim przymusem.

Nie chcąc odpowiedzieć, Klara nader zręcznie przerzuciła się z jednej kwestyi w drugą, przedstawiając się jako ofiara. Filip zrozumiał że naleganie byłoby okrucieństwem.

(D. c. n.)



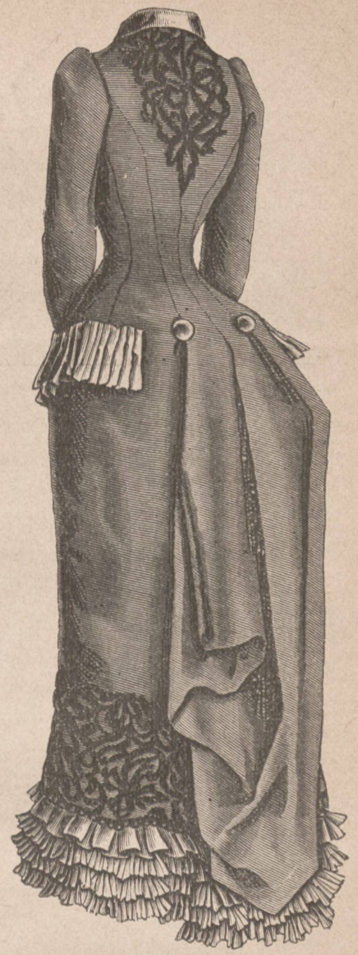
N. 1. Suknia z bawetowym stanikiem. Opis przy ryc. 1 w N. 44.



N. 3. Kapelusz okrągły z piórami.



N. 4. Kapelusz zdobny atłasem, aksamitem i piórami.



N. 2. Suknia z długiem vêtement. Opis przy ryc. 3 w N-rze 44.

Opis do N. 45.

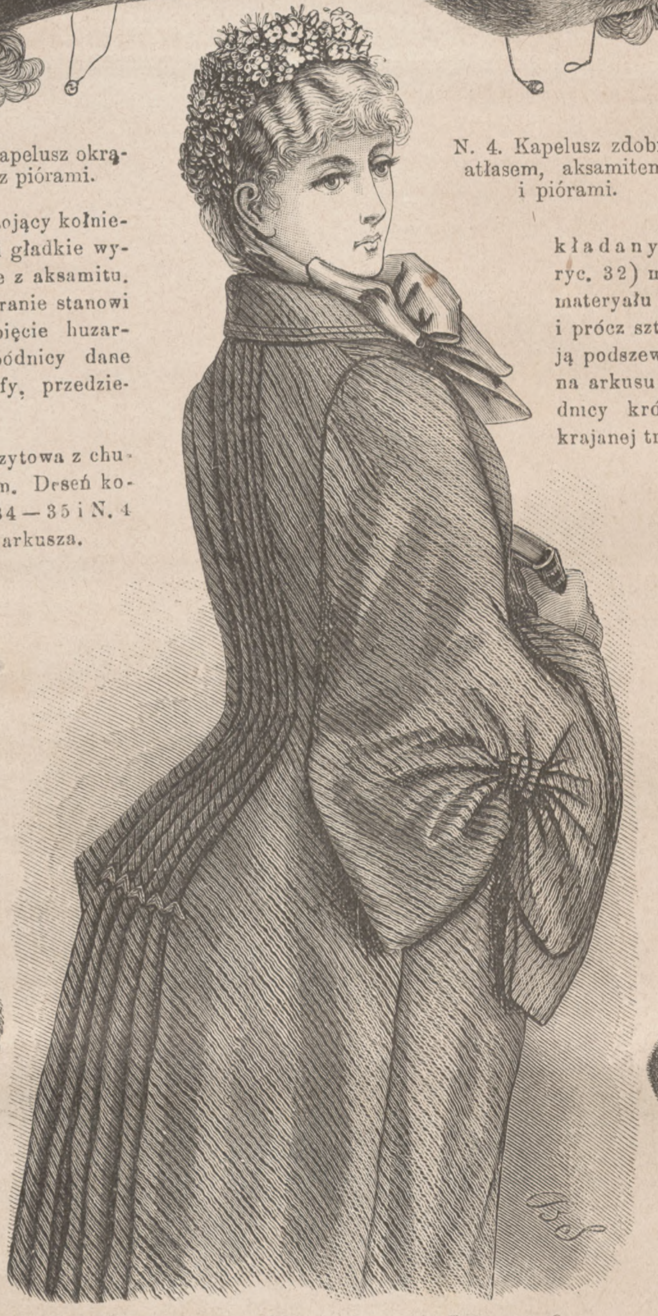
(Dalszy ciąg.)

N. 14. Suknia wizytowa ze stanikiem à panier.

Odrobiona z cienkiego wełnianego materyału ma przy staniku wysoki stojący kołnierzyk (col militaire) i gładkie wykłady u rękawów dane z aksamitu. Modne obecnie przybranie stanowi naszycie z pletni i zapięcie huzarskie stanika. Na spódnicy dane płaskie marszczone bufy, przedzielane sutemi riuszami.

N. 15. Suknia wizytowa z chusteczkowym kołnierzem. Deseń koronki na arkuszu fig. 34—35 i N. 4 na lewej stronie arkusza.

Na staniku bawetowym z aksamitnym plastronem dany kołnierz chusteczkowy z kosztownej starożytnej koronki, która pokrywa stojący kołnierzyk i garniruje rękawy. Kołnierz taki można przygotować sobie własnoręcznie, z tasiemeczki koronkowej. podajemy ku temu odpowiedni deseń na arkuszu dzisiejszym.



N. 7. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 8.

N. 16, 20, 24—25 i 32. Suknia strojna ze stanikiem z baskiną. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—10.

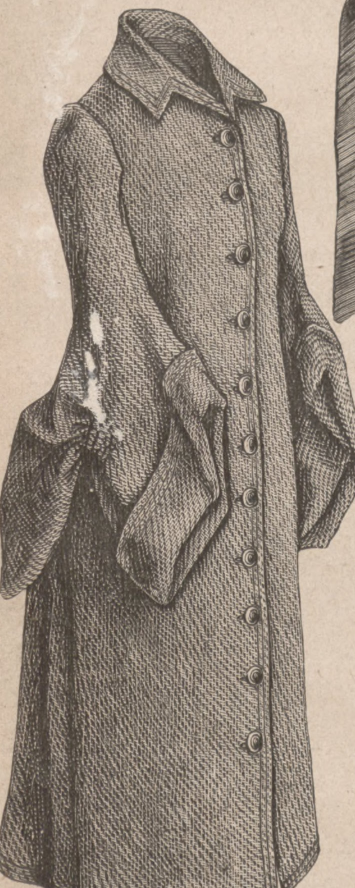
Model tej sukni wyszedł ze sławnej pracowni Worth'a w Paryżu i był bez trenu odrobiony z ciężkiej adamaszkowej materyi. ryc. 24 przedstawiamy suknię atłasową a r. 16 i 20 przedstawiają przód i plecy sukni z trenem. Stanik z przodu wycięty w szpiczaste klapki, z tyłu mający suto fałdowane karoczko, kraje się podług fig. 1—5 i zestawia podług odpowiednich liter (fig. 1a—5a). Karoczko krajane przy drugim boczku zachodzi od F do H pod plecy i przy obydwóch dolnych rogach obciążone jest plombami; przy plecach lewy dolny róg zakłada się w górę pod fałdę oznaczoną 2 na kroju. Całe koroczko podszywa się atłasem a brzegi stanika zakończa wypustką; pod wszystkie szwy podszyta wstążeczka do wsunięcia fiszbinów. Kołnierz wykładany i mankiety (patrz ryc. 32) muszą być z takiego materyału jak przybranie sukni i prócz sztywnego muślinu mają podszewkę jedwabną. Fig. 9 na arkusu podaje wymiar spódnicy krótkiej (robe ronde), krajanej trochę szerzej a zwężonej u góry, przez głębokie zaszewki, które powinny być dopasowane do figury; tylny bryt przemarszcza się ściśle z boków rozporka 34 c. długiego; w miejscach oznaczonych linją kropkowaną podszyte są listewki dla wsunięcia stalek, z których najwyższa liczy 20 cent., niższa 32 a dolna 34 cent. długości. Ażeby stalki odstawały spinane są elastykami, opatrzonemi haftkami do zapięcia luźniej lub ciasniej jaką chcemy mieć turniurę. To urządzenie spódnicy przedstawia r. 25. Przód sukni naszyty falbanami układanemi w kontrafałdy 8 cent. szerokie, z boków ozdobiony jest wykładami aksamitnemi po 16 cent. szerokiemi, które w górze rozchodzą się na 3 cent. a u dołu na 30 cent., poddane są sztywnym muślinem i podszyte materyą, przy tylnym brzegu przyszyte do sukni a z przodu zachodzące na falbany. Boki sukni po bryt tylny zdobi falbana 60 cent. szeroka, przemarszczona u góry w nagłówek i bufę 7 c. szeroką; ku przodowi falbana jest trochę zwężona, a u dołu naszyta plisą aksamitną 15 c. szeroką, daną w odstępie 8 cent. od brzegu. Upięcie dane nad falbaną na spódnicy kraje się podług fig. 10; brzeg przedni



N. 5. Kapotka z fałdowaną główką.



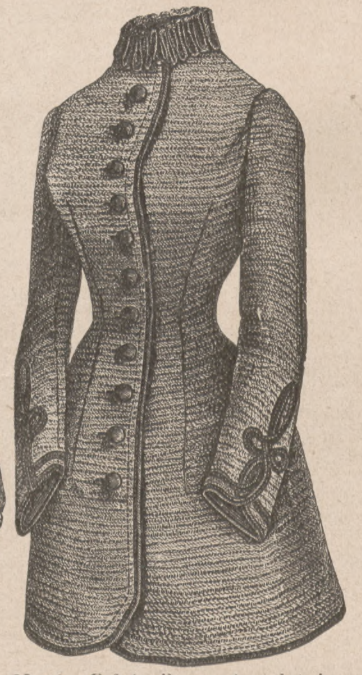
N. 6. Kapotka z gładką główką.



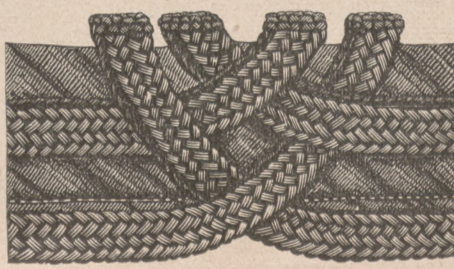
N. 8. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 7. Krój na arkuszu N. II, fig. 11—14a.



N. 9. Paletocik z kamizelką. Opis przy ryc. 31 w N-rze 44.



N. 10. Paletocik oszyty pletnią. Patrz ryc. 11.



N. 11. Część naszycia pletnią na rękawie paletocika ryc. 10.



N. 12. Płaszczyk z podpinanym brytem tylnym. Krój na arkuszu N. VI, fig. 31.



N. 13—23. Ubrania wizytowe, wieczorowe i ślubne.

N. 13. Suknia z vêtement. N. 14. Suknia ze stanikiem á panier. N. 15. Suknia z kołnierzem chusteczkowym. Deseń patrz fig. 34—35 i N. 4 na arkuszu. N. 16. Suknia ze stanikiem z basKiną. (Model od Worth'a w Paryżu.) Patrz ryc. 20, 24—25 i 32. N. 17. Suknia z wyciętym stanikiem á panier. N. 18. Suknia z kołnierzem koronkowym stojącym. N. 19. Ubranie ślubne. N. 20. Suknia ze stanikiem z basKiną. Patrz ryc. 16, 24—25 i 32, Krój na arkuszu N. I, fig. 1—10. N. 21. Sukienka z fałdowaną bluzką. N. 22. Sukienka z vêtement. N. 23. Suknia ze stanikiem bawetowym i z panier.

i dolny przyszyty gładko; górny brzeg w części podciętej okrągławo przyszyty gładko dalej zaś złożony w fałdy; tylny brzeg przefałdowany skośnie, podług krzyżyków oznaczonych na fig. 10 przyszywa się na sukni w odstępie 13 cent. od szwa bocznego; najlepiej zaś ułożenie fałd dopasować na figurze. Tren sukni stanowią dwa bryty (litera *b* na fig. 10) po 134 cent. długie, zszyte z sobą aż do rozporka sukni; każdy bryt w górze w odstępie 9 c. od brzegu zmarszczony jest do 12 c. i podszyty wstążką 2 cent. szeroką, poczem przyczepiają się do sukni a po zapięciu spódnicy związują wstążką atłasową, tworzącą końce po 7 cent. szerokie a po 150 cent. długie. Poniżej przewiązania jak to widzimy na ryc. 16. bryty przemarszczone są do 38 cent. szerokości i podpięte w bufę, poczem boczne brzegi brytów zakładają się w fałdę (w miejscu oznaczonem gwiazdkami na fig. 10 i przyszywają do spódnicy. Na trenie naszyte są plisy aksamitne, stopniowej szerokości a od spodu podszyta miękka podszewka i plisa jedwabna.



N. 24. Suknia bez trenu od ubrania ryc. 16 i 20 Patrz ryc. 25.

N. 17. Suknia wieczorowa z wyciętym stanikiem.

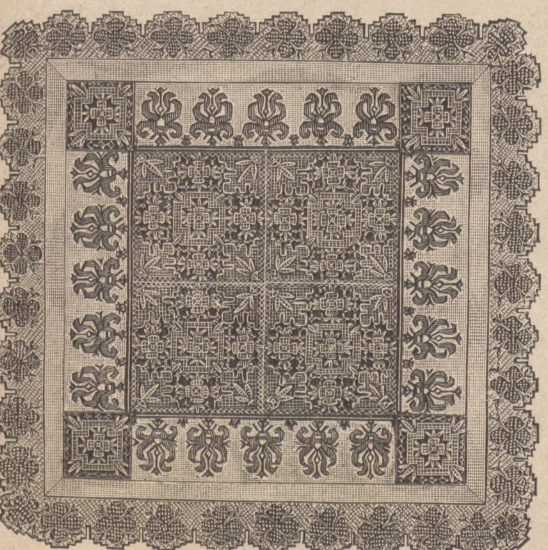
Spódnica plisowana ma u dołu szeroką koronkę, naszytą gładko i zaplisowaną razem z suknią; węższa koronka zdobi tunikę z jednego boku wysoko podpiętą. Stanik z baskiną à panier i z plisowanemi przodami ma wykrój znacznie głębszy z przodu a mniejszy z tyłu



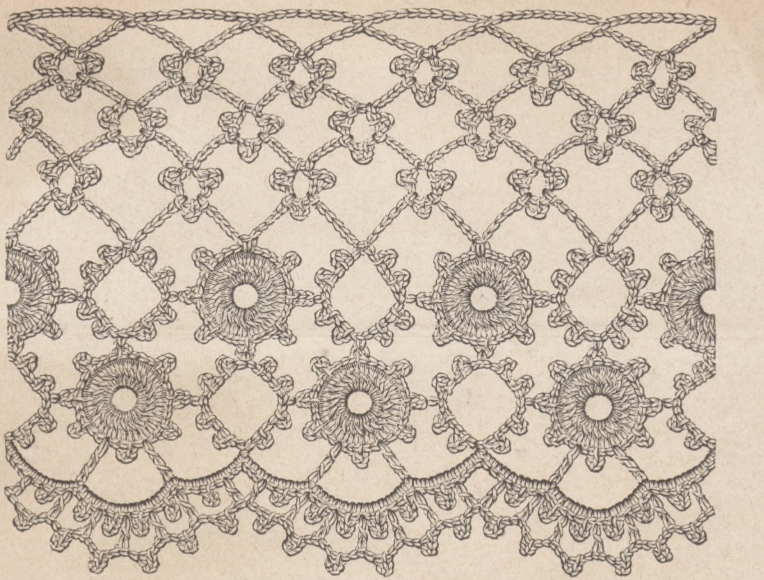
N. 29. Staniczek na gorset. Patrz ryc. 30. Krój na arkuszu N. IV, fig. 24—25.



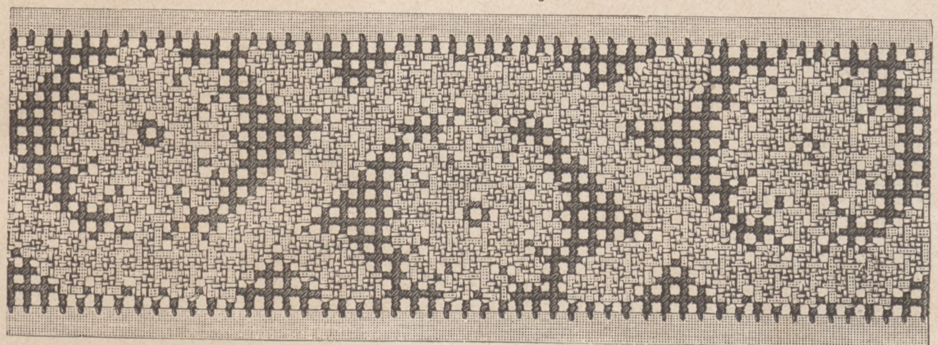
N. 32. Rękaw do sukni ryc. 16—20.



N. 35. Serweta z siatką gipiurową. Patrz deseń na arkuszu fig. 39 i N. 3.



N. 26. Koronka szydełkowa.



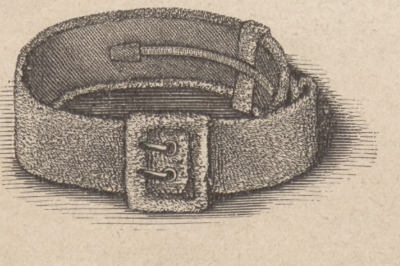
N. 27. Szłak robotą ażurową punto tirato, do ryc. 28. Patrz ryc. 21. w N. 44.



N. 31. Serweta haftowana. Patrz deseń na arkuszu N. 2 i 6—9.



N. 28. Poduszka z pasami robotą ażurową punto tirato. Patrz ryc. 21 w N-rze 44 i ryc. 27.



N. 34. Pasek pluszowy.

ogarnirowany riuszą z crêpe lisse i koronką zwróconą na dół.

N. 19. Ubranie ślubne.

Przód i boki sukni z kosztownej materyi lub atłasu zagarnirowane są falbanami koronkowemi. Tren przypięty na brycie tylnym, wyjątkowo długi jako do sukni ślubnej, ma brzegi boczne odwinięte wachlarzowo; u dołu dane fałdowanie z brzegami układanemi na kształt riuszy. Stanik bawetowy zapięty z tyłu, pod szyją lekko namarszczony, ma stojący kołnierzyk i mankiety pokryte gładko koronką. Długi welon z końcami ściętemi okrągło z przodu spuszczony jest do wcięcia stanu.

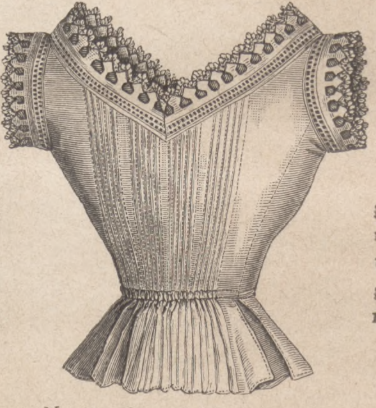


N. 25. Lewa strona sukni ryc. 24, 20 i 16.

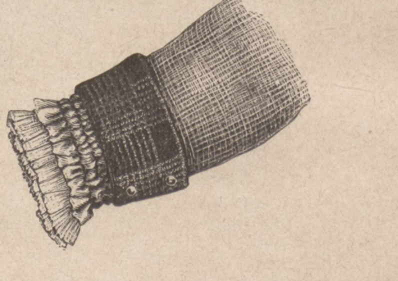
N. 21. Sukienka z bluzką fałdowaną, dla młodej panienki.

Spódniczka zakończona falbaneczką i ogarnirowana sutą riuszą atłasową jest z materyału adamaszkowego, zaś bluzka i tuniczka są z voile religieusse. Kołnierz i mankiety atłasowe ogarnirowane koronką.

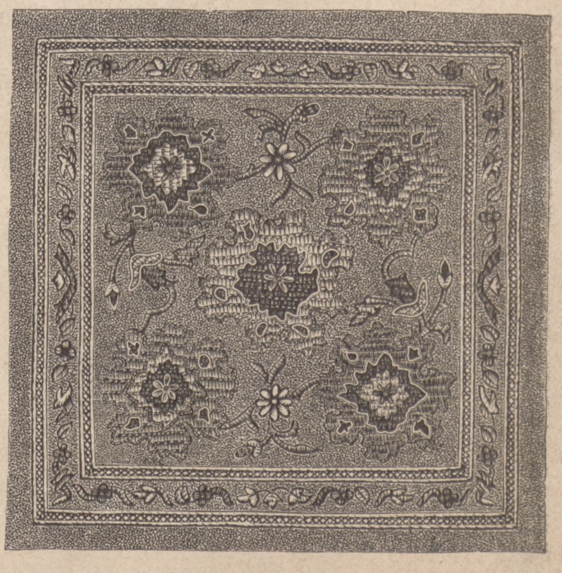
(D. n.)



N. 30. Staniczek na gorset. Patrz ryc. 29.



N. 33. Rękaw do sukni, r. 2.



N. 36. Poduszka do kanapy. Haft perski. Patrz r. 23 w N-rze 44 i fig. 36.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 44 i 45.

N. I. Stanik, draperya i spódnica do ryc. 16 i 20 N-rze 45.

Miara połowy górnej objętości stanika 52, w pasie 35 centym.

Fig. 1. Przód (A, B, I, K, L, +, :, ·, jedno załamanie formy).
Fig. 2. Boczek przedni (A, B, C, D). — ○ — ○ —
Fig. 3. Boczek do pleców (C, D, E, F, H, × 1 · 1).
Fig. 4. Plecy (E, F, G, H, I, K, ×, 2 · 2 do 3 · 3).
Fig. 5. Rękaw (L, M, N, O).
Fig. 6. Wyłożenie do rękawa (M, O).
Fig. 7. Stojący kołnierz (G, +). × · × · × ·
Fig. 8. Ranwers (+, :).

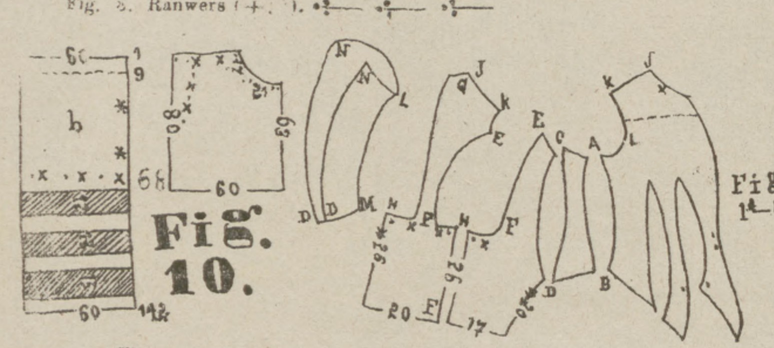


Fig. 9. Mały model i miary brytów spódnicy od sukni, *a* bryt przedni, *b* bryt boczny, *c* bryt tylny.
Fig. 10. Model kroju i miary draperyi: *a* draperya przednia, *b* połowa draperyi tylnej.

N. II. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Ryc. 7 i 8 w N. 45 Tygodnika Mód.

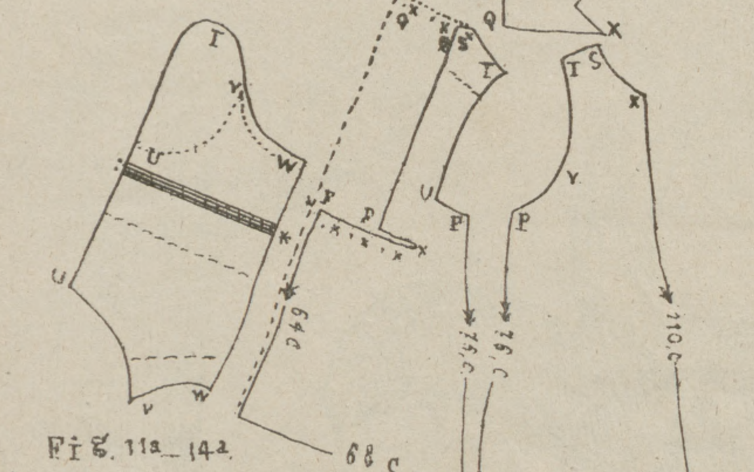


Fig. 11. Przód (P, S, T, V, X). — — —
Fig. 12. Podszewka pleców (P, Q, R, S, T, U, +, ×, 4 do × 6 · 6) jedno załamanie formy.
Fig. 13. Rękaw z linią oznaczającą zestawienie dwóch części formy
Fig. 13A. Górna część rękawa (T, U, V, W, *(:). ⟷ ⟷
Fig. 13B. Spodnia część rękawa (U, V, W, *, : jedno załamanie formy.
Fig. 14. Kołnierz (Q, X).

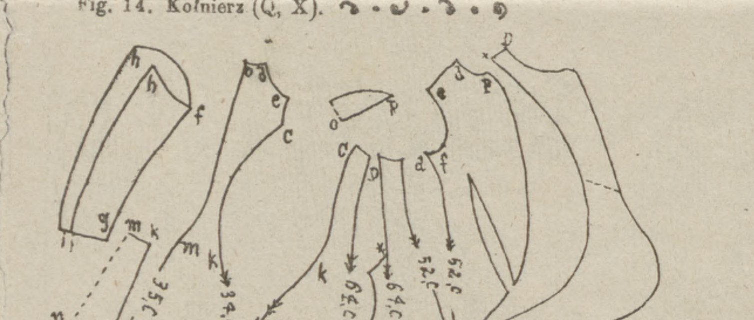


Fig. 11a—14. Zmniejszony format zestawionych razem części formy płaszczyka z oznaczeniem kreseczkami ilości dodania zwierzchniego materyału do pleców.

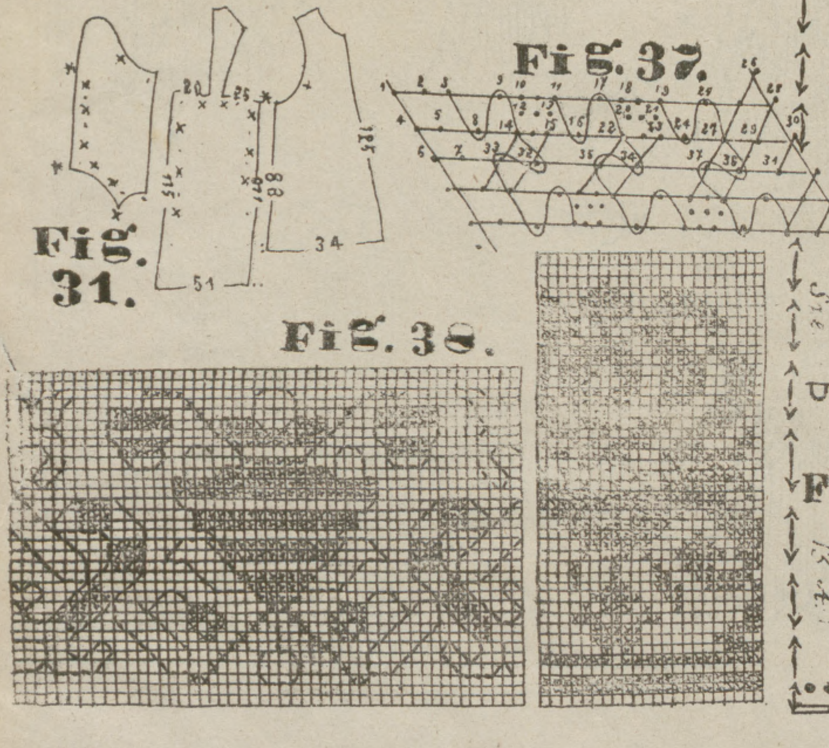
N. III. Paletocik z kamizelką. Ryc. 31. w N-rze 44 i ryc. 9 w N-rze 45.

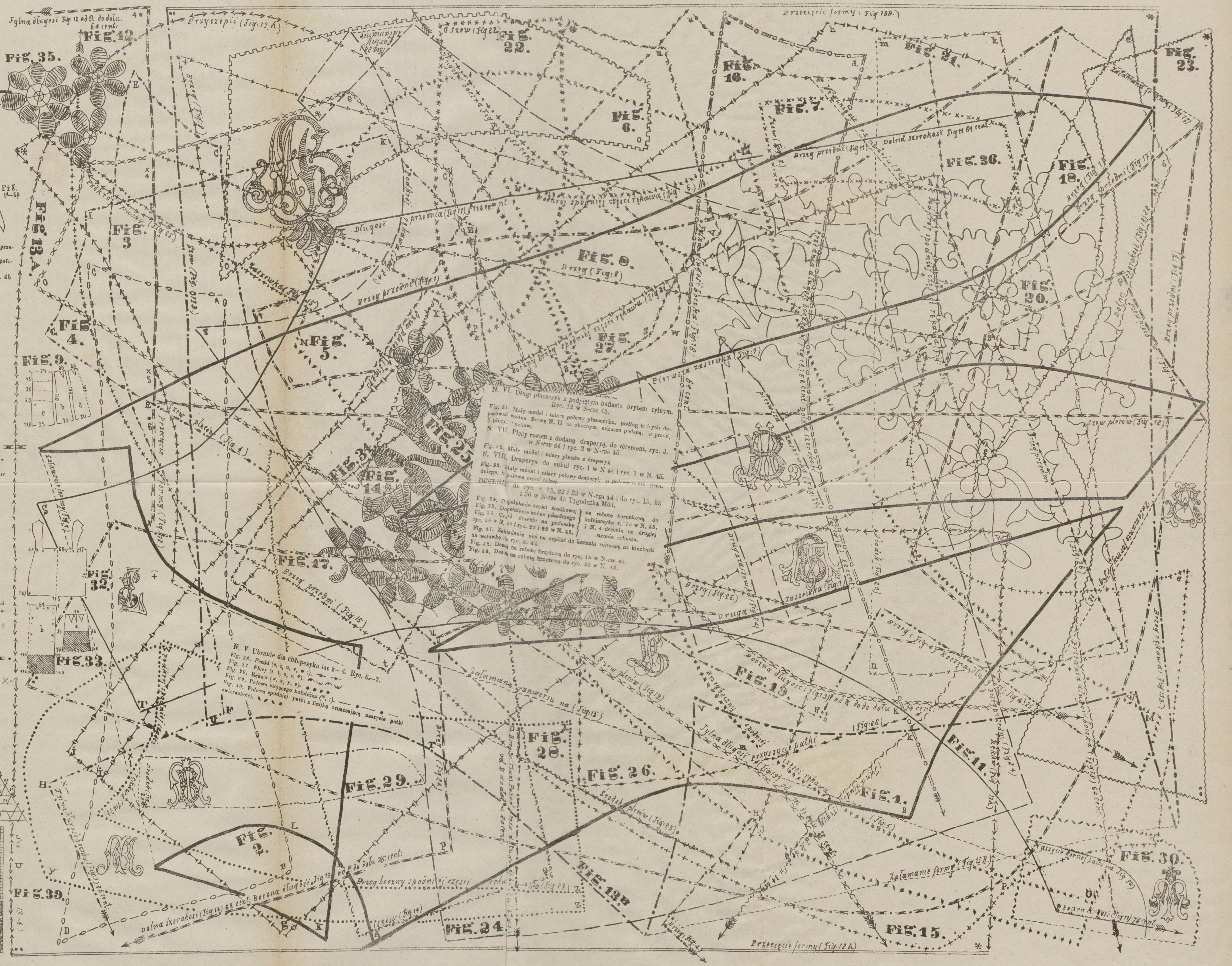
Fig. 15. Przód (a, d, e, f, p). + · + · + ·
Fig. 16. Boczek przedni (a, b, *, ·) ═ ○ ═ ○ ═
Fig. 17. Część kamizelkowa (o, :, +, ·, jedno załamanie.
Fig. 18. Boczek do pleców (b, o, k).
Fig. 19. Plecy (c, d, e, k, l, m, n, o).
Fig. 20. Połowa części dodanej do pleców (k, l, m, n). — × — × —
Fig. 21. Rękaw (f, g, h, i).
Fig. 22. Kołnierz (o, p). * * *
Fig. 23. Patka (*, :)

Fig. 14a—23a. Mały format zestawionych części formy paltocika.

N. IV. Wycięty stanik pod suknię. Ryc. 29 i 30 w N-rze 45 Tygodnika Mód.

Fig. 24 Przód (q, r, *, :, jedno załamanie formy. — — —
Fig. 25. Połowa pleców (q, r, *, :). ⟷ ⟷





N. V. Ubranie dla chłopczyka lat 2—4. Ryc. 6—7.
Fig. 26. Przód (s, t, u, v, w :).
Fig. 27. Plecy (s, t, u, v. *).
Fig. 28. Rękaw (w, x, y, z).
Fig. 29. Połowa stojącego kołnierza (*, :).
Fig. 30. Połowa spódniej patki z linijką oznaczającą naszycie patki zwierzchniej.

N. VI. Długi płaszczyk z podpiętym bufiasto brytem tylnym. Ryc. 12 w N-rze 45.

Fig. 31. Mały model i miara połowy płaszczyka, podług których dopasować można formę N. II na obecnym arkuszu podaną: *a* przód, *b* plecy, *c* rękaw.

N. VII. Plecy razem z dodaną draperyą, do vêtement, ryc. 3. w N-rze 44 i ryc. 2 w N-rze 45.

Fig. 32. Mały model i miary pleców z draperyą.

N. VIII. Draperya do sukni ryc. 1 w N 44 i ryc. 1 w N. 45.

Fig. 33. Mały model i miary połowy draperyi: *a* połowa brytu przedniego, *b* połowa części tylnej.

DESENIE do ryc. 8, 15, 22 i 23 w N-rze 44 i do ryc. 15, 35 i 36 w N-rze 45 Tygodnika Mód.

Fig. 34. Dopełnienie części środkowej } na robotę koronkową do kołnierzyka r. 15 w N. 45.
Fig. 35. Dopełnienie końca przedniego }
Fig. 36. Część deseniu na poduszkę ryc. 36 w N. 45 i ryc. 22 i 23 w N. 45. } i N. 4 deseniu na drugiej stronie arkusza.
Fig. 37. Zakładanie nici na szpilki do koronki robionej na klockach na wstawkę do ryc. 8. 44.
Fig. 38. Deseń na robotę krzyżową do ryc. 15 w N-rze 44.
Fig. 39. Deseń na robotę krzyżową do ryc. 22 w N. 45.


1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
9.